

Bumerang z gumy do żucia

I.

Vincent Paldridge wszedł do ogrodu. Bosymi stopami przeszedł po dywanie z trawy i usiadł na leżaku. Postawił drinka, po którego fatygował się do kuchni, na stoliku obok i wyciągnął się. Był leniwy dzień. Sądząc z faktu, że Susan nie było, a Mary odrabiała lekcje w domu, był to środek tygodnia. Carolina pojechała do sklepu po zakupy. Vincent chciał jej pomóc, ale powiedziała, że pojedzie z Peggy — ich sąsiadką. Peggy Karzov była żoną Johna Karzova, dość osobliwego osobnika, który podobno pracował w dziale księgowości pewnej dużej korporacji, czy coś takiego. John i Peg mieli równie osobliwe, jak i oni dzieci, Kevina i Angelinę.

Vincent pracował jako kreator wizerunku różnych znanych osobistości. Ze względu na swoje doświadczenie był jednym z najlepszych. Mógł sobie pozwolić na obsługę jednego tylko klienta naraz. Miał jedną z najwyższych stawek na rynku — i zdecydowanie najwyższą, jeśli chodzi o firmy jednoosobowe — ale każdy, kto go wynajmował, mógł być pewien, że nie zmarnuje ani centa z wydanej kwoty. Sam Vincent nie miał wielkich wymagań, nie miał potrzeby umieszczania w każdym pokoju telewizora plazmowego i marmurowej podłogi w całym domu. Wybrał spokojne życie na przedmieściach, chociaż był taki moment w jego życiu, że nawet nie wyobrażał sobie, że to może być możliwe. Po kilkunastu latach te niepokoje były tylko odległy i mglistym wspomnieniem. Mieszkali w skromnym domku jednorodzinny i było im z tym dobrze. Vincent wiedział, że córki i tak kiedyś wyemigrują do wielkiego miasta. On z niego uciekł, one uciekają do niego. Może jego wnuki wrócą tutaj.

Minęło już ponad dwadzieścia lat, jak poznał Carolinę. Był wtedy w dość nieprzyjemnym i niewiele rokującym — z perspektywy czasu patrząc — punkcie swojego długiego życia. Rzucił wszystkie stare przyzwyczajenia i zniknął. Za odłożone pieniądze ulokowali się z Caroliną na przedmieściach Bostonu, gdzie wkrótce urodziła się Susanne, rok później Marianne. Obydwie dostały imiona po piosenkach Leonarda Cohena, którego Carolina od lat wielbiła z niesłabnącą siłą. Vincent nie miał nic przeciw. Tam, skąd pochodził, wszyscy nosili dziwne imiona. On sam nie nazywał się kiedyś Vincent Paldridge. Możliwe, że dlatego nie udało się go jeszcze

wyśledzić nikomu z jego przeszłości.

Był więc Vincent człowiekiem uciekającym przed przeszłością. Ale, paradoksalnie, dzięki swej przeszłości, kiedy to poznał dogłębnie psychikę ludzką, znaleźć dochodowe zajęcie. Sąsiadom powiedział, że był muzykiem rockowym w Europie Wschodniej, który musiał uciekać przed represjami reżimu. Kupili to. Niby dlaczego mieliby nie uwierzyć?

„Kłamstwo”, jak powtarzał wielokrotnie w pracy, „musi być prawdopodobne. Prawda nie musi. Może być niemożliwa, bo i tak jest prawdą”.

Muzykiem był na studiach psychologicznych, toteż nikt nie węszył wokół jego zawodu. Zresztą Vincent — z racji swej niechlubnej przeszłości — unikał rozgłosu, pomimo zawrotnych sukcesów swoich podopiecznych, nigdy nie udzielał wywiadów i nie pojawiał się publicznie. Dawało mu to względny spokój, czasem tylko ktoś usilnie chciał „porozmawiać z nim o politykach i biznesmenach”.

Nie od początku było różowo, głównie dlatego, że Vincent nie kontaktował się z nikim ze swojej przeszłości. Wszystkich klientów udało mu się pozyskać „potem”. Ale stopniowo, z biegiem lat, zmniejszał liczbę obsługiwanych naraz klientów, aż liczba ta osiągnęła wartość jeden. Firma Paldrige Creations miała obecnie mocną markę, chociaż owianą tajemnicą. Coś jak tzw. filmy drugoobiegowe — wszyscy je znają, ale oficjalnie nic o nich nie ma.

Obecnie miał przerwę między zleceniami. Niedawno pomógł pewnemu centrolewicowemu politykowi w wyborach. Jak podkreślał wielokrotnie, nie obchodzi go raczej zastosowanie metod, których uczy. Było to jednak kłamstwo, mające zbudować neutralny obraz Paldrige Creations, ponieważ tak naprawdę Vincent starannie dobierał klientów, grymasząc przy tym, jak mała dziewczynka na odpuście. Nie pomógłby nigdy skończonemu populiście ani fanatykowi. Z tego powodu rzadko pracował z pravicowymi politykami, ponieważ jakimś cudem ci mieli najmniej dystansu do siebie i do życia w ogóle, a w takich warunkach po pierwsze: łatwo było o fanatyzm, po drugie: nauka szła jak po grudzie, uczniowie tacy i tak robili po swojemu. Nie bawił się również Vincent w kreowanie medialnych potworów, wielkich panów od zera. Mając ten komfort, wybierał diament spośród zleceń, a następnie robił z niego brylant.

Ale w tym momencie Vincent w ogóle nie myślał o pracy. Pomimo, iż miał gabinet w domu, potrafił doskonale wręcz izolować pracę od życia osobistego. W tym celu miał zrobione osobne wejście od ulicy. Chcąc iść do pracy, musiał wyjść z domu. Sfery się nie mieszały. W chwilach wytchnienia pomiędzy kolejnymi zleceniami, Vincent oddawał się swojemu ulubionemu zajęciu — rozmyślaniu. Nie czytał, bo znał większość książek, nie oglądał filmów — a jeżeli już, to sporadycznie — ponieważ były nieporadne i kalekie w oddawaniu rzeczywistości, a aspekt rozrywkowy nie był dla niego taki ważny. Vincent nigdy nie nudził się

ze swoimi myślami i ze swoją rodziną, lubił więc łączyć te dwie rzeczy i mając chwilę wytchnienia rozmyślał o rodzinie.

Do dziś pamięta, jak uczucie do Caroliny, studentki historii sztuki odmieniło go. Ostrożnie postępuje ze wspomnieniami z tego okresu, ograniczając tylko do swojej ukochanej, ponieważ sam był wtedy kimś, kogo nie chce sobie przypominać nawet przy okazji. Zamiast tego woli wspominać latynoską piękność, którą ujrzał w bibliotece uniwersyteckiej, jak opowiadała mniej rozgarniętej koleżance o cechach charakterystycznych socrealizmu. Ujęło go takie zainteresowanie stylem architektonicznym, który miał na dobrą sprawę zaistnieć w jednym tylko miejscu na świecie. Wtedy, kiedy z wielkim zapałem opowiadała tak i opowiadała, postanowił, że czas na zmianę. Tydzień później jako Vincent Paldridge z zerowym kontem zapukał do jej drzwi w akademiku, by się z nią umówić. Jak na dzielną dziewczynkę przystało i kokietkę zarazem, opierała się. Ale też jej wpadł w oko. Na pierwszy rzut oka wyglądali komicznie — on o skórze koloru mlecznobiałego, ona hebanowa Latinoamerykanka — niczym czekolada z mlecznym nadzieniem w przekroju. Pobrali się po pół roku znajomości, po obronie jej pracy zdecydowali się na dziecko. Tak narodziła się Susanne. Od początku niepokorna i ciekawa świata jak matka, a jednocześnie tajemnicza jak ojciec. Idealne wyważenie. I to bez ingerencji genetyków czy alchemików. Dwa lata później na świat przyszła Marianne, która była bardziej introwertyczna od swojej siostry, znacznie bardziej skupiona na gromadzeniu wiedzy. Nawet w tej chwili robiła coś do szkoły. Carolina dzięki zarobkom męża nie musiała pracować zawodowo. Pracowała dla przyjemności. Była wykładowcą na swoim uniwersytecie, dość lubianą i szanowaną. Właśnie przygotowywana była do wydania jej książka o — a jakże — krótkiej historii architektury socrealistycznej.

Jednakże, jak mówią słowa pewnej piosenki:

Mir kommt es vor als ob mich jemand warnt:

Dieses Märchen wird nicht gut ausgehen?

(Przecucie mam, że jednak spyta ktoś:

Czy ta bajka się nie kończy źle?)

Vincent od lat psychicznie przygotowywał się do tej chwili. Nie mówił o niej i jeżeli brał taką okoliczność pod uwagę, to w głębi myśli, żeby nikt przypadkiem nie przejrzał go. Bał się samospełniającego się proroctwa. Ale, jak powiedział pewien wariat kiedyś — przeszłość jest jak bumerang, która wraca. Im mocniej rzucisz, tym później, ale i mocniej uderzy cię w głowę. A jak dodał wtedy pewien wampir, jego przyjaciel — bumerang taki można złapać i odrzucić

znowu. I na to liczył Vincent.

I oto w tamtej chwili, kiedy ręką sięgał po drinka, w skład którego wchodził sok bananowy, curacao i wódka wyborowa, w tej chwili, kiedy jego mlecznobiałe palce zaciskały się na zimnym od lodu drinku, który wypełniał całą swoją objętością szklany pucharek (tworząc jednocześnie tafelę, w przeciwieństwie do gazów, które również przyjmują kształt naczyń, w którym się znajdują), wtedy do jego ogródka wpadł bumerang rzucony za siebie bez mała dwadzieścia lat wcześniej.

Vincent, nie puszcżając drinka, odwrócił się i ujrzał dziwnego mężczyznę, choć równie dobrze mogła to być kobieta. Miał rudoczerwone włosy z czarnymi odrostami sięgające do ramion, szarą twarz, czerwone tęczęwki oczu i luźny szary płaszcz z rozłożystym kołnierzem na sobie, spod którego wystawało nagie ciało. Odcień skóry przypominał lateksową gumę. Mężczyzna zbierał się właśnie z trawnika.

— Na twoim miejscu poszukałbym twojej córki — powiedział androgynicznym, jak i cała reszta, głosem mężczyzna.

Vincent zerwał się, na chwilę tracąc z oczu przybysza. Kiedy stanął i się odwrócił, gościa już nie było. Pozostała tylko niepewność. Czerwonooki uruchomił samonakręcającą się maszynę paranoi. Choćby chciał, Vincent nie potrafił jej zatrzymać.

— Co słyhać, sąsiedzie? — spytał nagle ktoś.

Był to John Karzov, który miał podobny odcień skóry, co się teraz rzuciło w oczy Vincentowi. Ubrany był, jak do pracy, czyli w szarą koszulę z białym kołnierzykiem i czerwonym krawatem oraz szare spodnie i buty tego samego odcienia. Ubiór ten nie dziwił, ponieważ było już późno. Kiedy Vincent robił sobie drinka, było południe, jednakże w jakiś sposób nie pamiętał ostatnich godzin. Pamiętał, że kiedy chwycił drinka, pucharek był zimny, teraz nie. Lód już dawno się roztopił. Strach o córkę sparaliżował go na kilka godzin. Dopiero John go otrzeźwił.

Od początku znajomości — co daje mniej więcej rok — Vincent podejrzewał, że z jego sąsiadem było coś nie tak. Dowodu nie było, ale wydawał się jakiś taki sztuczny, bezduszny. Z dowcipem i inteligentnymi zagraniami, ale no właśnie — były to głównie zagrania. Jakby ktoś udawał człowieka, przy czym był to bardzo drobiazgowy plan.

— Jeszcze nie wiem — odpowiedział Vincent. — Przepraszam, ale muszę zadzwonić.

Wbiegł do domku i złapał słuchawkę telefonu. Jako jedyny w domu nie miał swojej komórki, ponieważ kiedy był w biurze, był w biurze. Nie tolerował dzwonięcia na numer domowy, nawet zastrzegł sobie w umowie, że może to być przyczyną bezwzględnego zerwania umowy. Wybrał numer komórki Susan i usłyszał:

— Abonent poza zasięgiem.

Teraz maszyna paranoi zaczęła pracować naprawdę. Vincent, kiedy nie był Vincentem, miał takich znajomych, że nie chciałby, by jego córka wpadła w ich ręce.

Nie, weź się w garść, powiedział do siebie.

Wybrał numer do Caroliny.

— Hej, gdzie jest Susan? — spytał, starając się nadać swojemu głosowi naturalny ton.

— Porozmawiamy, jak wrócę — odpowiedziała Carolina. — Już dojeżdżam.

Pięć minut później jej samochód wjechał na podjazd. Przez cały ten czas Vincent starał się zewnętrznie uspokoić, co mu się udało.

— Coś się stało? — spytała Carolina, wysiadając z samochodu.

— Chyba nie — odpowiedział i najlepsze, że mogło to być prawdą.

Wziął zakupy i weszli do domu. W kuchni Carolina powiedziała:

— Susan chciała, żeby ci tego nie mówić, ale pojechała na koncert.

Vincent zwężył oczy na chwilę i już wiedział o co spytać.

— Gdzie i z kim?

— Do Nowego Jorku. Z Kevinem Karzovem.

— Dlaczego nie wiedziałem o tym? — spytał Vincent.

— Byłeś zajęty ostatnim klientem jeszcze na początku tygodnia, byłeś w Atlancie. Jakoś zapomniałam o tym. Przepraszam.

Była szczera, ale to nie pomagało Vincentowi. W najmniejszym stopniu.

Kevin! — wpadło mu nagle do głowy.

— Idę pogadać z Johnem — powiedział.

— Na pewno nic się nie stało? — spytała Carolina.

— Irracjonalnie się niepokoję.

Nie chciało mu się iść od ulicy, ponieważ zaczął sobie wkręcać, że go obserwują. Dlaczego od ogrodu mieliby tego nie robić, gdyby już robili, nie był w stanie sam sobie odpowiedzieć. Paranoja już tak ma. Wszedł do ogrodu i przeskoczył przez płot, a następnie wślizgnął się do kuchni. Peg właśnie perorowała coś do Johna, który z uśmiechem na twarzy słuchał jej.

— ...a potem okazało się, że Wendy nie była do spowiedzi już ponad pół roku. No wiesz, nie ma takiego obowiązku, ale nikt mi nie powie, że ona taka bez grzechu jest. Rozumiesz, o co mi chodzi? — spytała kontrolnie, jakby obawiając się, że wpatrzone w nią oczy męża są naklejone na powieki, a on sam śpi w najlepsze.

— Tak, tak kochanie, rozumiem — odpowiedział wystudiowanym głosem.

Vincent postanowił wkroczyć do akcji.

— Przepraszam, chciałem z Johnem pomówić.

— Jak pan tutaj wszedł?! — zawołała Peggy, która była wojującą i, co tu dużo mówić,

trochę ograniczoną katoliczką.

— Drzwi były otwarte — odpowiedział Vincent.

— O boże, jeżeli nie zamykamy drzwi, to sam szatan może wkroczyć do naszego domostwa! — zawołała Peggy.

— Chodźmy do mojego składziku — powiedział John, wstając.

Ruszyli do małego pomieszczenia z miotłami. Kiedy weszli, a John zamknął drzwi, okazało się, że nie ma wiele miejsca dla dwóch osób i muszą stać na baczność i ściśnięci, niczym szprotki w puszcze. Vincent nie omieszkał zauważyć, że John nie wydziela z ust żadnego zapachu. W ogóle nie wydawał się mieć własnego zapachu. Pomimo iż była siedemnasta, nie czuć było w ogóle potem, jakby się nie zmęczył albo przebrał po przyjściu z pracy w takie samo ubranie, co byłoby raczej bez sensu. Jeżeli wykluczyć oczywiście takie dziwactwo, jak chodzenie zawsze takim samym ubraniu (ale nie tym samym). Również twarz Johna — głowa w ogóle — sugerowała, że jest jakiś inny. Trochę kanciasta, z krótkimi — a jakże — szarymi włosami. Vincent zaczynał się powoli zastanawiać, czy jego sąsiad nie jest kosmitą, który przybył na Ziemię, żeby uratować swoich pobratymców, tworząc jakieś super technologie, ale stało się inaczej — zrobił nawiedzanej babie dziecko i utknął tutaj, na dodatek nie awansował tak bardzo, jak planował. Postanowił poruszyć tę kwestię przy najbliższej sposobności. John Karzov ponadto nie wykonywał nigdy zbędnych ruchów — co Vincent mógł zaobserwować przy kilku grillach, które sobie urządzili; z racji tego, że ich dzieci się przyjaźniły, utrzymywali luźne kontakt, ale bliższe niż poranne „Dzień dobry”. Przy krótkich okazjach nie rzucalo się to w oczy, ale np. John potrafił podczas grillowania stać przez pół godziny w jednej pozycji, nie miał żadnych trików. Rzecz nie tyle niebywała czy trudna do osiągnięcia, a po prostu niemożliwa — ludzki układ nerwowy jest „zaśmiecony” różnymi reakcjami, co jakiś czas coś człowieka swędzi, coś wpada do oka. John Karzov w tajemniczy sposób był od tego wolny.

— Zamknij oczy — powiedział John. Vincent zamknął oczy i usłyszał, że John przestawia coś na półce za swoimi plecami. Poczul, że są w ruchu. — Już możesz otworzyć.

— Winda? — spytał Vincent rozglądając się po składziku, który w ogóle nie sprawiał takiego wrażenia.

— To dla wygody własnej. Tylko chciałbym cię prosić, żebyś zachował to dla siebie — powiedział John. — Sprawdziłem cię w Internecie i nic o tobie nie ma, a do materiałów agencyjnych nie dotarłem. Jeżeli to całe kreowanie wizerunków jest tylko przykrywką, to nie wykryłem tego. Szczerze mówiąc, żywię głęboką nadzieję, że nie jesteś tajnym agentem tajnej policji lub tajnego wywiadu.

— W Stanach Zjednoczonych nie ma tajnej policji — wtrącił Vincent.

— A NSA? — spytał John i od razu zdeprecjonował własne pytanie: — A zresztą, mniejsza o różnice semantyczne. Wiesz, o co mi chodzi.

— Tak — odparł Vincent. — Nie musisz się obawiać.

Winda miękko — i bezgłośnie, co było istotne w takim miejscu, ze względu na sąsiadów i żonę, a może na odwrót — zatrzymała się i otworzyły się drzwiczki na dość obszerne laboratorium z jakimś słupem pośrodku.

— To chyba nie... — zaczął.

— To stos atomowy — odpowiedział John. — Zaprojektowałem go i wybudowałem kilka lat temu. Nie wywala korków, jak wszystkie urządzenia są włączone. Wcześniej był dramat, jak szła pralka, piekarnik, komputer i Peg włączyła czajnik, to wywalało korki. Obiecałem jej wtedy, że zajmę się tym.

— To bezpieczne? — spytał z niepokojem Vincent. — Nie chciałbym, żeby skaziło radioaktywnie moją rodzinę.

— O siebie się nie martwisz? — spytał John.

— Czymże jestem bez nich? — odpowiedział pytaniem Vincent. — O nich się martwię, nie o siebie. I właśnie w tej sprawie zaglądnąłem do ciebie. Podobno moja córka pojechała z twoim synem do Nowego Jorku.

— Tak — odpowiedział John. — Boisz się, że zaciąży?

— Wierzę, że wychowałem ją na inteligentną osobę. Chodzi mi o coś innego. Nie wiem, jak to powiedzieć, żeby nie powiedzieć za dużo, ale boję się o nią, a nie mogę się skontaktować. Może Kevin ma telefon komórkowy przy sobie?

John usiadł na obrotowym krześle przy blacie przed gigantycznym monitorem. Wskazał Vincentowi drugie krzesło.

— Trochę to zagmatwane, z czego wnoszę, że jeżeli nie jesteś tajnym agentem, co mnie oczywiście w ogóle nie interesuje, to jesteś gangsterem. Podejrzewam, iż obawiasz się, że jacyś źli ludzie z nowojorskiego półświatka chcą uprowadzić twoją córkę. Jeśli o Kevina, to nauczyłem go bronić się przed niebezpieczeństwami wielkiego miasta i życia w ogóle. Również przed filozoficznymi niebezpieczeństwami. W istocie wychowałem go na pogodnego pesymistę, rodem z opowiadania Pitigrilliego. Aczkolwiek nawet on może mieć problemy z większą grupą, do tego uzbrojoną. Przeczuwając oszustwo ze strony życia szeroko pojętego, ponieważ tylko tak może odnieść zwycięstwo nad moim pierwotnym, pozwoliłem sobie zostawić furtkę na tę okazję. — John przez cały czas siedział w jednej pozycji. Nie gestykułował ani nawet nie podrapał się po głowie. Przypominał Vincentowi stare gry komputerowe i pierwsze animacje, które polegały na tym, że animowano usta postaci, a cała reszta była obrazkiem.

— W jakiej postaci furtkę sobie zostawiłeś? — spytał Vincent. — Jeśli można wiedzieć,

oczywiście.

— GPS — odpowiedział John. — Nie korzystałem z tego jeszcze, poza fazą testów, więc mogę tylko wyrazić nadzieję, że to zadziała.

Włączył jakiś program, na ekranie pojawiła się kula ziemiska.

— To Google Earth? — spytał Vincent.

— Pierwotnie tak, ale zmodyfikowałem go odpowiednio.

Wpisał w okienku „Kevin Karzov” i model Ziemi obrócił się, a następnie zaczął przybliżać. Nowy Jork, jednak. Vincent trochę odetchnął z ulgą, bo oznaczało to, że jego córka jest jednak tam, gdzie powinna. Z grubsza.

— Jak dokładne to jest? — spytał Vincent.

— Nie bardzo — odpowiedział John. — Ale mam znajomą w Nowym Jorku, może nam pomóc. Jutro z rana pojedziemy tam i...

— Jedźmy teraz — powiedział Vincent.

— Teraz nie możemy — zaprotestował John.

— Dlaczego? — oburzył się Vincent w pierwszym odruchu. — Mam siedzieć na miejscu, kiedy mojemu dziecku być może grozi niebezpieczeństwo?!

— Pomyśl tylko — powiedział John. — Czy boisz się ludzi szukających zemsty, którzy chcą dopaść, skrzywdzić, okaleczyć i być może zabić twoje dziecko? — spytał, a Vincent aż się skrzywił na samą myśl o wymienionych przez niego okropnościach. Spokój, z jakim to wypowiedział, mógł budzić niepokój. — Czy może raczej chcą ją porwać, żeby cię do czegoś namówić? Wiadomo, jak jest z emerytowanymi gangsterami i agentami: są cenni, a z racji posiadania rodziny narażani na szantaż. Jeżeli chcą cię pozyskać, a tak sądzę, to nie zabiją jej, nawet nie skrzywdzą, wnosząc po tym, że jesteś jak samica dzika w obronie rodziny.

— Nie przestajesz mnie zaskakiwać — powiedział Vincent.

— Tak naprawdę konsultowałem to z Lecterem — odparł John.

— Lecterem? — spytał Vincent. I nie dlatego, że nie wiedział, o co chodzi. Lecter był żółwiem lądowym Johna, o którym ten co jakiś czas opowiadał, że mówi i że prowadzi rozmowy o życiu filozofii itd. Traktował to jako ciekawostkę i żałował swojego pytania. — Lecterem, no tak — odpowiedział sobie szybko. — Więc jutro?

— Jak najbardziej, nie chcę niepokoić mojej żony, a ty pewnie swojej.

— Dobra, przyjdę po ciebie o szóstej rano — powiedział Vincent. — Pozwól, że spytam na koniec: czy jesteś kosmitą, który przybył na Ziemię, żeby uratować swoją planetę technologiami wyprodukowanymi tutaj?

John bynajmniej nie zdziwił się tym pytaniem.

— Nie — odpowiedział. — Jestem androidem.

Dwie godziny później, kiedy leżeli w łóżku z Caroliną, Vincent nie mógł zasnąć. Leżał na boku, zwinięty w kłębek, podczas gdy Carolina czytała jakiś kryminał przy małej lampce.

— Coś się dzieje? — spytała. — Nie możesz spać.

Vincent odwrócił się do niej i uśmiechnął.

— Przecież wiesz, że ja nie śpiam — odpowiedział.

Istotnie, była to prawda. Vincent z powodów, których nie chciał nikomu nigdy wyjawić, nie sypiał. Kładł się na cztery godziny, żeby jego żona nie spała sama, ale potem wstawał i udawał się do jakichś zajęć. Czas ten poświęcał na medytację i rozmyślania, również o rodzinie, szczególnie kiedy miał jakieś zlecenie i nie miał w ciągu dnia ani chwili wytchnienia. Jednoosobowe szkolenie człowieka to iście nadludzki wysiłek.

— Ale gdybyś sypiał, to nie mógłbyś dzisiejszej nocy — powiedziała Carolina z czułością. — Martwisz się o Susan?

— I tak, i nie. Bardziej martwię się o swoją przeszłość, która co prawda nigdy do tej pory nie atakowała, ale tym bardziej uśpiła moją czujność — powiedział. Postanowił nie opowiadać jej o mężczyźnie w ogrodzie. — Jedziemy jutro z Johnem do Nowego Jorku.

— Rozumiem — powiedziała Carolina, zamykając książkę. — Dasz mi znać, jak będziesz coś wiedział?

— Dam — odparł. — John ma tam jakąś znajomą czy coś. — Po chwili wahania dodał również: — Wezmę też swoją skrzynkę. Mam nadzieję, że nie będę musiał jej otwierać.

Carolina nie wiedziała, co jest w skrzynce — wiedział to tylko Vincent — ale ze sposobu, w jaki mówił o skrzynce i w jaki się z nią obchodził, wywnioskowała, że ma tam co najmniej bombę atomową obłożoną fiołkami z nitrogliceryną lub coś o podobnej delikatności.

Westchnęła.

— No, to pozostaje nam trzymać kciuki za was chłopaki — powiedziała, odkładając książkę na nakastlik. Przytuliła się do niego.

— Raczej za to, żeby to były tylko moje urojenia — odpowiedział Vincent.

II.

Kiedy Vincent zadzwonił z telefonu na komórkę Johna — żeby nie budzić wszystkich dzwonkiem — ten oznajmił, że jest już gotowy. Chwilę później przed drzwiami jego garażu zjawił się Vincent, ubrany cały na czarno — w golf, dżinsy, buty wojskowe i skórzany płaszcz. Na włosy, które sterczały w górę bardziej niż dzień wcześniej, nałożone miał czarne okulary. John ubrany był identycznie jak dzień wcześniej. Zlustrował blaszaną skrzynkę, którą Vincent

ciągnął za sobą. Nic specjalnego — blaszana, kanciasta, wzmacniana. Wypisz, wymaluj na jakąś broń ciężkiego kalibru. John uśmiechnął się, licząc na małą rozróbę. Może Vincent da mu odpalić jedną czy dwie rakiety?

John ze swojej strony miał na ramieniu torbę, z której wystawało coś paskudnego. Vincent przyjrzał się uważniej i stwierdził, że to... żółw. Czarny i szkaradny. Więc to był legendarny Lecter. Po co John chciał go ze sobą brać, tego Vincent nie wiedział, ale postanowił okazać dobrą wolę.

— Mogę pogłaskać? — spytał.

— Odradzałbym — powiedział rzeczowo John. — To żółw jaszczurowaty, który potrafi odgryźć palec. Jeżeli już, to na własne ryzyko.

— Może zacznę zatem od rozmów o poezji — stwierdził Vincent, po czym ruszył w stronę wiśniowego vana metalik Johna.

— Nie, nie, kolego, to bryka mojej żony, nie nadaje się na misję specjalną — powiedział John. — Chodź, pokażę ci bolid, którym pojedziemy.

Wyjął z kieszeni spodni kluczyki samochodowe z pilotem i nacisnął przycisk. Drzwi delikatnie uniosły się do góry, chociaż w pierwszej chwili szarpnęło je i oczom Vincenta ukazał się sportowy samochód koloru ciemnego srebra.

— Gdzieś go widziałem już — powiedział.

— To ten z „Powrotu do przyszłości” — odpowiedział John. — I nie mam na myśli, że taki, tylko ten. DeLorean DMC 12. Udało mi się go okazyjnie odkupić od gościa, który kupił go od gościa i tak dalej i tak dalej, i gdzieś tam na początku ktoś to od studia kupił. Szczerze powiedziawszy, to z oryginału została chyba tylko rama i deska rozdzielcza, z czego ramę wzmocniłem. Cała reszta nowa. To jak, jedziemy?

— Na ten czas — odparł Vincent.

Wpakował skrzynkę do bagażnika — który również był inwencją Johna — i ruszyli. John włączył jakieś radio, do znużenia grające stare przeboje.

— Długo się znacie z Peg? — spytał Vincent.

— Tyle, co małżeństwo. Kiedy osiągnąłem biologiczny wiek 27 lat, stwierdziłem, że chcę mieć następcę. Pomyślałem: katoliczka będzie najlepszą matką. Pokaże mu, jakim nie zostać, ja będę wzorem przeciwnym, poza tym katoliczki są oddane życiu rodzinnemu, jako że już wtedy miałem niezłe przychody w branży porno, to Peg mogła sobie pozwolić na żywot kury domowej. Specjalnie dla niej zostałem pracownikiem w dziale administracji sprzedaży. Choć mojej kochanej żonie powiedziałem, że moja funkcja jest bardzo ważna, w istocie tak nie jest. Wpinam odpowiednie kartki do segregatorów, które chowam w odpowiednich szafach. Pewnie, archiwizacja, to istotna sprawa, ale mógłby to z powodzeniem robić ktoś inny. No, ale moja

żona nie przełknęłaby faktu, że jej mąż jej znanym, choć pod pseudonimem, właścicielem firmy produkującej masowo pornografię. — John przez cały czas zachowywał ten sam ton głosu, co wzbudzało ambiwalentne uczucia w Vincencie. Z jednej strony brzmiało zabawnie, z drugiej jednak trochę irytowało.

— Branża porno? — spytał Vincent. — Nieźle. Jak to się zaczęło?

— W szkole średniej razem z kolegą nakręciliśmy koleżankę i sprzedaliśmy to takiemu gościowi u nas w mieście. Obiecał, że opchnie to na drugim wybrzeżu i już w tydzień później całe miasto mogło oglądać dziewczynę z dobrego domu, która pindrzy się do kamery i gada sprośności. Wyszedł nam hit onanistów. Najzabawniejsze jest to, że ona to zrobiła dla jaj, wiesz, jakie są bogate dziewczyny? Dzieci w ogóle. Zepsute do szpiku kości. Była wkurzona, jej ojciec chciał się z nami procesować, ale miała już podówczas 18 lat i mogli nam naskoczyć, jako że podpisaliśmy umowę. Potem już wynajmowaliśmy dziewczyny, informując je, po co to i tak dalej. Z biegiem lat firma z dwuosobowej spółki w garażu rozkręciła się do potężnej maszyny, której nawet nie kontroluję za bardzo. Tylko w kwestiach finansowych. Co kręca i tak dalej — w ogóle mnie to nie obchodzi. Najciekawsze jest to, że to chyba jedyna branża — obok zbrojeniowej naturalnie...

— Naturalnie — wtrącił Vincent.

— ...która utrzymuje się bez dopłat i dotacji. Po prostu zbijamy kasę na biciu konia — zakończył John.

— Waleniu konia — poprawił go Vincent.

— No wiem, ale „zwalanie forsy na waleniu konia” brzmiałoby jeszcze dziwniej — odparł John.

— Fakt — odparł Vincent.

— A ty? — spytał John.

— Od momentu, kiedy poznałem Caroline i zacząłem nowe życie, ruszyłem od zera. Całkowicie. Miałem tylko trochę pieniędzy na rozruch i tyle. Udało mi się zbudować markę, o której nie jest głośno, a która w odpowiednich kręgach jest znana. Ot, i tyle. Aż i tylko. Dość to banalne, chociaż przez lata udało mi się uniknąć rozgłosu. Nie tylko zrobiłem na szaro media, ale również ten bumerang zwany przeszłością. — To mówiąc, Vincent ubrał rękawiczki bez końcówek palców i z ochraniaczami na knykcie. — Jak się poznaliście z żoną? Zdaje się, że powiedziałeś wczoraj, że jesteś androidem. Czy androidy mają uczucia?

— Och, drogi sąsiedzie, jesteś niesprawiedliwy — zachnął się nieszczercze John. — Czyżby pokerowe „sprawdzam”? To i tak dobrze, że nie spytałeś, czy marzę o elektronicznych owcach — rzucił i napotkawszy lekko uniesioną prawą brew Vincenta, dodał: — Nie marzę.

— Ale serio — powiedział Vincent.

— Katolicy mają dość ludzi, którzy ich udają tylko po to, żeby się z nimi pobrać. W celu uniknięcia takich ludzi pozakładali sobie serwisy randkowe, które najczęściej są płatne. Wiadomo, za darmo robiliby sobie jaja, tak trzeba się już zastanowić. Poczytałem trochę o doktrynie i ruszyłem na podryw. I tak odkryłem Margaret...

— Poczekaj — przerwał mu Vincent. — Czy nie trzeba wierzyć, żeby być katolikiem?

— A skąd! — zawołał John. — Na tym polega dowcip związany z katolicyzmem. Pamiętasz sławetny zakład Błażeja Pascala?

— Tak.

— No więc on już powiedział, że trzeba spełniać sakramenty i to wystarczy. Kościół się oburzył, bo jak ktoś naświetla jakąś lukę, to zawsze się oburzają. Ale Pascal miał rację. Z protestantami jest gorzej, bo tam trzeba autentycznie wierzyć, a ja po prostu nie jestem do tego stworzony. Ja analizuję, oceniam... Katolicyzm więc wydawał się jedyną opcją. Umieć dbać o pozory, jak nikt, więc wystarczy, że chodzisz co niedzielę do kościoła, raz w roku do spowiedzi, raz do komunii świętej, daj na tacę, uśmiechaj się, pogadaj z księdzem o polityce i jesteś gość. Sam rozumiesz. Jesteś wierzący? — spytał poniewczasie John. — Bo ja tu może się produkuję, a ciebie targa.

— Nie jestem katolikiem, jeśli o to pytasz. Nie jestem nawet chrześcijaninem. Najbliżej mi do buddyzmu — odpowiedział Vincent.

— No to wielka ulga — zaśmiał się nerwowo urywanym śmiechem John.

— A dzieci? — spytał Vincent.

— Chciałem stworzyć pierwszą na świecie linię androidów-potomków — odpowiedział John. — I udało mi się. Mój syn jest w połowie katolikiem, w połowie odhumanizowanym osobnikiem. — Przy tej wypowiedzi prawie dało się wyczuć dumę w głosie.

— Możesz być z siebie dumny — powiedział Vincent, sam nie wiedząc, z jaką zawartością ironii.

Kiedy wjechali na autostradę, Vincent jednakże oddalił się myślami od tych sąsiedzkich spraw i zaczął zastanawiać, czy będzie to pojedynczy przypadek, czy też posypią się dawni znajomi. Z pewnym lękiem myślał też o metalowej skrzynce i jej zawartości. Wolałby nie otwierać jej z kilku powodów.

Obrócił się do tyłu i ujrzał paskudnego Lectera, który siedział na półce za nimi i przyglądał się z zainteresowaniem. Jak na tak groźnego osobnika zachowywał się spokojnie. Przyglądał się z godnością Vincentowi.

— A ta twoja znajoma? — spytał Vincent.

— Frieda? Znamy się z dawnych lat, poznałem ją, kiedy byłem rekinem rynku porno — odpowiedział John, po czym dodał zmienionym głosem: — A dlaczego nie tygrysem?

Vincent, który patrzył na przemykający za oknem krajobraz, spojrzął na swojego sąsiada.

— Słucham? — spytał.

— To Lecter — powiedział John.

— Zmieniłeś głos — odparł Vincent, trochę zaskoczony sytuacją.

— Nie, mamy podobne — brnął dalej John.

Vincent postanowił odpuścić.

— To pewnie często was mylą — powiedział.

— Nie, bo on się do tej pory do nikogo nie odzywał — powiedział John, patrząc badawczo na Lectera. Vincent pomyślał, że John czuje się przy nim pewnie i odkrywa się powoli. Swoje dziwactwa.

— A właściwie to dlaczego Lecter?

— Bo gryzie ludzi — odparł John. — Kawał drania. Pamiętasz, mówiłem, że może odgryźć palec.

— No.

— Odgryzł. Mojemu teściowi. Dlatego tak lubię skorupiaka. — „Poczochnął” Lectera po skorupie. — Peg kazała mi go wywalić, więc oficjalnie zniknął, ale trzymam go w moim Składziku.

— Rozumiem — odparł Vincent.

Wyłączył się na resztę drogi.

III.

Nowy Jork był kosmopolityczny, jak zawsze. Przywitał ich zbieraniną Arabów, Murzynów, Azjatów, imigrantów z Europy Wschodniej, Latynosami i oczywiście WASP-ami, którzy z racji weekendu nie byli pod krawatem w tak dużej liczbie, jak to można zobaczyć w tygodniu. Ale wszyscy gdzieś się spieszyli. Gdzieś pośród nich była Susan, jego mała Susan, która jeszcze wczoraj robiła pierwsze kroki pod jego okiem. Teraz robiła pierwsze kroki bez jego nadzoru. Nikt lepiej od Vincenta nie wiedział, jak zły jest i potrafi być świat, ale w sensie ogólnym się tym nie przejmował — nic na to nie jest się w stanie poradzić. Nauczył swoje dzieci radzić sobie, nie ufać byle komu i tak dalej, ale to je przerastało. Człowiek, który spadł na ziemię w jego ogrodzie, nie stanowił zagrożenia, przed którym można się przygotować. To tak, jak

podczas lotu samolotem — można nauczyć zapinać pasy i korzystać z kapoka, ale kiedy wpadnie się w turbulencję, nic nie można poradzić. Tutaj Vincent wierzył, że może. Gdyby nie kruchość ludzkiej istoty, a szczególnie 19-letniej dziewczyny, byłby tego pewien. A tak — pozostawała niepewność.

John bardzo dobrze orientował się w topografii miasta, korzystając nawet ze skrótów, co robiło na Vincencie dobre wrażenie. Wyjechali z najbardziej dzianej dzielnicy i zajechali do trochę paskudnych lokali. Pewnym było, że noga Peg by w takim miejscu nie postanęła. Carolina też by była temu raczej niechętna. Samochód stanął w końcu przed blokiem, który spełniał coś więcej niż minimum czynszowe, ale od luksusu było dalekie. Naprzeciwko były jakieś magazyny.

— Myślałeś, że do slumsów pojedziemy? — spytał John i zaśmiał się.

— Nie zakładałem niczego — odparł Vincent. — Jeżeli to miałyby pomóc mojej córce, to zastąpiłbym do samego Piekła. Chociaż wolałbym nie.

Kiedy wysiedli z samochodu, John złapał jakiegoś chłopaczka stojącego nonszalancko opartego o mur i powiedział:

— Pilnuj mi auta. Jak coś mu się stanie, to pozbawię cię jąder i każę zjeść z pikantnym sosem. Rozumiemy się?

Buńczuczna pewność siebie chłopaczka od razu zniknęła i pojawiło się przerażenie.

— Ale ja nie...

— Jak będzie cacy, to dostaniesz 50 dolców — zakończył John. Zwrócił się do Vincenta: — Chodźmy.

Weszli do bloku i wspięli się na ostatnie piętro, czwarte. Winda nie działała i wszystko wskazywało na to, że od dłuższego czasu. Wszystkie drzwi były identyczne i co ciekawe, nie miały numerków. John zapukał do jednych drzwi, które po chwili się uchyliły. Wyrzała dziewczyna o blond włosach, ale nie złositego odcienia, a bardziej jak przygaszonego siana pod koniec sierpnia. Wygląd zresztą był podobny.

— John — powiedziała bez entuzjazmu, ale i bez cienia negatywnych uczuć. Najprawdopodobniej się zapowiedział.

Frieda musiała mieć do niego dużo zaufania, bo zostawiła otwarte drzwi i w samych białych majtkach i koszulce na ramiączkach pobiegła do sypialni. Była dość chuda, nie miała ani pełnych pośladków, choć pewna kragłość dała się zaobserwować, ani wydatnych piersi; najprawdopodobniej nie nosiła stanika. Co zwróciło uwagę Vincenta, to nieogolone nogi. Nie, żeby go to podniecało bądź odpychało, ale była to raczej rzadkość. Frieda wróciła w dresach i... czarnych soczewkach kontaktowych. Vincent zdał sobie sprawę z tego, że nie zapamiętał, jaki miała kolor oczu. Ale było w niej coś jeszcze — doświadczenie. Wyglądała jak przedwcześnie

dojrzała 18-latka i to nie w sensie fizycznym: bo pewnie była łakomym kąskiem dla miłośnika „młodych dup”. Frieda była starcem w ciele dziecka. A może raczej mędrce, nie starcem. Vincent był ulepiony z podobnej gliny i z miejsca rozpoznał, że Frieda niejedno widziała i przeżyła. I natchnęło ją to wewnętrznym spokojem, toteż nie była gderliwa jak stara baba, ale raczej wyciszona jak buddyjski mnich.

I oto Vincent pomyślał sobie: ona widzi to samo. Patrzy na niego i rozpoznaje, że nie jest taki, jak się wydaje, ani nawet taki, jak się nie wydaje. Że nosi w sobie piętno wielkiej mocy i paskudnej przeszłości. Można to udawać przed sąsiadami na przedmieściach, ale nie przed kimś takim, jak Frieda.

Jednocześnie ze spostrzeżeniami na temat Friedy, inaczej spojrział na Johna. Skąd się znali? Jak długo się znali? I wreszcie — jak dobrze, skoro może bez większych zapowiedzi zjawić się u niej w mieszkaniu? Nie liczył, że znajdzie odpowiedzi na swoje pytania, ale wyostrzył swoją spostrzegawczość.

Mieszkanie było o klasę wyżej niż blok, w jakim się znajdowało. Było tu wszystko, czego człowiek o niewygórowanych potrzebach mógłby potrzebować. I aż nadto jak na buddyjskiego mnicha. Telewizor, komputer, kuchniopokój, kątem oka Vincent zauważył również pralkę i wannę w łazience. Zamknięta była najprawdopodobniej sypialnia. W pokoju dziennym na kanapie siedział mężczyzna podłączony do kroplówki. Był zniszczony jakąś chorobą lub nałogiem i zmęczony życiem. Był w zniszczonych dżinsach, nawet z śladami farby na nogawkach, nieświeżym podkoszulku i poplamionej jakąś zupą koszuli flanelowej. Na nogach miał plastikowe klapki pod prysznic. Włosy miał tłuste i przylepione do głowy. Vincent usiadł w fotelu naprzeciwko niego. Mężczyzna oglądał kanał informacyjny — właśnie podawali informacje o kłopotach Jeremy'ego Curtisa, znanego potentata finansowego podejrzanego o szpiegowstwo; na kolanach miał laptopa — kiedy Vincent wchodził do pokoju, widział, że na monitorze miał otwarty portal giełdowy, ten sam, z którego korzystała Carolina; jej gra na giełdzie miała jednak charakter zabawy w wolnej chwili, przynajmniej na razie.

— Jestem Vincent.

Mężczyzna oderwał się od serwisu poprzez ruch oczu. Patrzył teraz na niego obojętnym spojrzeniem.

— Harry — powiedział powoli wyciągając dłoń.

Uścisk miał niespodziewanie mocny.

— Śledzisz wydarzenia na świecie? — spytał Vincent. Sam się dziwił, jak krępująca jest dla niego cisza w obecności tego trochę upiornego człowieka. John i Frieda musieli być w zamkniętym pokoju albo łazience, więc musiał liczyć na siebie.

— Tak — odpowiedział Harry ponuro. A potem, niespodziewanie, ożywił się: — Szukam

węzłowych wydarzeń. Zabrzmi to banalnie, jeżeli powiem, że coś się zbliża, ale tak jest. Z tymże nigdy nie jest to jedno wydarzenie. Ciąg kluczowych wydarzeń, które składają się na coś większego. Żeby to uchwycić, wystarczy oglądać serwisy informacyjne. Ostatnimi czasy nie specjalnego się nie dzieje, co by zwiastowało jakieś gwałtowne wydarzenie. Ale wydaje mi się, że nastąpi roszada za „kurtyną”. Zakulisowa zmiana.

— Wiesz, kto odejdzie, a kto przyjdzie? — spytał Vincent, żywo zaciekawiony teorią Harry'ego.

— Ja przyjdę — odpowiedział Harry. Vincentowi prawie wyrwało się: „Tak myślałem”, ale ugryzł się w język, a sam Harry nie chciał również oddać inicji: — Ale nie wiem, kto odejdzie. Możliwe, że nawet go nie poznam. Nie muszę. Tak samo, jak on nie musiał znać swojego poprzednika. I wtedy będę rządził światem... — Urwał, ponieważ zadzwonił telefon. Odebrał i chwilę słuchał, po czym powiedział: — Sprzedawaj.

— Akcje? — spytał Vincent, kiedy Harry skończył.

— Rządzenie światem wymaga zaplecza — odpowiedział Harry, pierwszy raz pozwalając sobie na uśmiech. Wymuszony i zmęczony, ale jednak.

Wtedy do pokoju weszli John z Friedą. Frieda była zaskoczona, widząc ich rozmawiających razem. Vincent spojrzał na nią przenikliwie. Ich spojrzenia się spotkały, chyba, bo miała soczewki i mógł się tego tylko domyślać. I zrozumiał, w czym rzecz. Ale postanowił się ze swoją wiedzą nie ujawniać. Świat jest tak skonstruowany, że należy udawać, że wie się mniej niż w rzeczywistości.

— Poznaliście się już? — spytała Frieda.

— Tak, Harry jest bardzo interesującym człowiekiem — odparł Vincent.

Wszystko zgodnie z niewidzialnym protokołem, którego nigdy nie spisano.

— John wyjaśnił mi w czym rzecz — powiedziała Frieda. — Pomogę wam, w miarę możliwości.

— Bylibyśmy wdzięczni — odparł Vincent. — Wszyscy. Ja, Susan, pewnie John z Kevinem.

— Tych dzieci nie byłbym pewien — odparł John. — Zrobimy im niezły obciach: pomysł tylko, koncert, impreza, a tu nagle starzy wpadają.

— Zrozumiem — powiedział Vincent. — Może nie od razu, ale czasami po dorosłych ludziach nie można tego oczekiwać, a co dopiero od wchodzących w życie nastolatków.

John usiadł obok Harry'go. Harry z racji niedbania o siebie i być może choroby — o ile była to choroba — trawiącej go, nie pachniał najprzyjemniej, mówiąc eufemistycznie. Johna bynajmniej to nie zrażało. Czyżby naprawdę był androidem, jak powiedział?

— Mogę skorzystać? — spytał, biorąc komputer do ręki.

Harry spojrzał na niego pełnym wrogości spojrzeniem.

— A jeśli nie? — spytał

— Jestem znajomym Friedy — odparł John, minimalizując wszystkie aplikacje i uruchamiając zdalny pulpit, na którym uruchomił program do namierzania.

Wstukał imię i nazwisko syna, i...

— Cholera — powiedział.

— Co jest? — spytał Vincent, nastrajając się do działania: napiął mięśnie, ścisnął powieki, wpuszczając do źrenic mniej światła, rozchylił nozdrza, ogólnie przyjął pozycję bojową.

— Wyłączył komórkę — odpowiedział John, spokojny jak zawsze. — Ale mogę odtworzyć, gdzie była włączona po raz ostatni, bo zostawiłem śledzenie, kiedy wychodziliśmy.

— Zrób to — powiedział Vincent.

Stuk, puk i jest. W międzyczasie sam wyjął komórkę i próbował dodzwonić się do swojej córki, ale jej komórka również była poza zasięgiem lub wyłączona.

— Klub „Torrents” — powiedział John.

— Hmm... — mruknął Harry.

— Wydarzenie węzłowe? — spytał Vincent, przelitykając ślinę.

— Czasami, kiedy powtarzają się wiadomości, włączam nasłuch pewnej częstotliwości, której używają nieopatrznie dwaj agenci NSA. No, może nie tak nieopatrznie — zaśmiał się Harry, tym razem autentycznie, chociaż efekt był gorszy niż poprzednio — bo trzeba mieć dekoder, żeby ich zrozumieć, ale dziwnym przypadkiem go mam. Ale w czym rzecz: wczoraj mówili o przechwyceniu Rybki w Strumieniach. Nie w strumieniu, a strumieniach. Zastanawiała mnie ta liczba mnoga, możliwe, że o to chodziło.

— NSA! — zawołali jednocześnie Vincent z Johnem, po czym obaj popatrzyli na siebie podejrzliwie.

Pierwsza myśl: „Śledzą mnie”, druga: „Śledzą jego?”. Vincent bardziej obstawiał, że mogą iść za Johnem, podobnie zresztą jak i John, ale co w takim razie robił człowiek, który spadł na ziemię za plecami Vincenta w jego ogródku?

— A w takim razie udział Friedy powinien być minimalny, ponieważ grozi to ujawnieniem mojej działalności — powiedział Harry. — Zbyt wielu gangsterów wpadło przez swoje kobiety, żebym mógł tak ryzykować.

Vincent spojrzał na Friedę — pomimo niezbyt oszałamiającej urody i niezbyt pełnego ciała, gdzieś na granicy fascynacji i obrzydzenia, iście ambiwalentne połączenie — i nie zastanawiał się, co faceci w niej mogą widzieć, czy co widzi Harry. (Bogiem a prawdą, w takim stanie, w jakim był Harry — i to bez znaczenia na fakt, kim najprawdopodobniej był —

zainteresowanie jakiegokolwiek przedstawicielki płci pięknej, nawet jeżeli jest to takie przysłowiowe piękno, cieszy jak nic na świecie). Vincent zastanawiał się, co sam w niej widzi, że powoli zaczyna mieć na nią ochotę.

— Obawiam się, że Harry ma rację — powiedziała Frieda. — On zawsze ma rację.

— No cóż, nie chcemy narażać twojej misji, Harry — powiedział Vincent, wstając. — Poradzimy sobie jakoś z Johnem. — To mówiąc, wyszedł. — Muszę zadzwonić gdzieś.

Wyszedł na korytarz i oparł się o ścianę, ciężko dysząc. Był cały rozpalony! I dlaczego? Przez jakąś dziwną i średnio atrakcyjną kobietę? Nigdy odkąd związał się z Caroliną nie miał problemów z wiernością, nigdy nie interesował się innymi kobietami, a teraz...

— Nie przejmuj się — powiedział John.

— Słucham? — spytał Vincent.

— Ona to rozumie — odpowiedział John.

— Słucham? — powtórzył Vincent.

— Chodź, opowiem ci w samochodzie — powiedział i od razu zaczął: — Frieda nie jest zwykłym człowiekiem.

— Wiem — odparł Vincent. — Powiedzmy, że z racji na moją przeszłość mam świadomość pewnych rzeczy.

— Nie wiem, ile ona ma lat, ale z tego, co mi powiedziała, to nie starzeje się. I powiem ci, że jak ją poznałem x lat temu, na studiach, to tak samo wyglądała — mówił dalej John.

— Ty pewnie też — odparł Vincent. — Wbrew pozorom nie masz siwych włosów, tylko szare. I żadnych zmarszczek. Pewnie, niektórzy ludzie starzeją się bez zmarszczeń, ale ty do nich nie należysz.

— No tak, ale przecież już powiedziałem ci, że jestem androidem — odparł zdziwiony John. — Wróćmy może do Friedy, bo widzę, że jeszcze majaczysz. Otóż ona ma najwięcej w całej galaktyce tego „czegoś”. Niektórzy nazywają to magnetyzmem, inni seksapilem, chociaż to akurat spłylenie, bo chodzi o coś zupełnie innego, a jeszcze inni w ogóle tego nie nazywają, operując wciąż tajemniczym „czymś”. Wszyscy na nią lecą, na szczęście to ostra żyłeta i większość się boi z czymś podejść. Ja, jako android, nie leciałem na nią, bo ja na nikogo nie lecę, może z wyjątkiem mojej żony, ale to jest zaprogramowane, więc się nie liczy. Dopadło cię i już. Może lepiej, że nam nie pomaga. — Wyszli przed blok. — A ten Harry, to jest w ogóle dziwny.

To imię otrzeźwiło Vincenta, chociaż nadal był rozpalony.

— Harry jeszcze dużo zwojuje — powiedział. — Widzę talent, potencjał i tak dalej.

Chłopaczka pilnującego samochodu nie było. John spojrzął do środka i powiedział:

— Nieładnie, Lecterku, odgryłeś trzy palce tamtemu chłopcu — powiedział John. — Na

pewno nie chciał ukraść pojazdu, tylko odpocząć, bo na zewnątrz jest tak zimno.

Vincent spojrział w niebo, z którego lał się żar.

— Na pewno — odpowiedział zapijaczony głos z wnętrza samochodu. Po pierwsze: głos był podobny do Johnowego, po drugie: głowa Johna była w środku. To przekonywało Vincenta, że ten udaje, że jego żółw mówi. Albo ma rozdwojenie jaźni i przerzuca swoje alter-ego na żółwia. Ale czy androidy cierpią na schizofrenię?

Lecter jednak odgryzł palce, które John bez obrzydzenia wyrzucił z samochodu.

— Jedziemy — powiedział, otrzepując ręce.

Wsiedli do samochodu. Vincenta korciło, żeby spytać, o czym John rozmawiał z Friedą, ale to wcale nie musiały być sprawy związane z celem ich pobytu w mieście. Obrócił się i spojrział na Lectera, który miał zakrwawiony pysk. A jednak z oczu bił mu żółwi spokój.

— Sorry, że zostawiłem cię z tym dziwakiem, ale chciałem z Friedą omówić pewną starą kwestię — powiedział John, jakby czytając w myślach.

— Drobiazg. Jedziemy do „Torrents”?

— Tak. — John nacisnął przycisk na kokpicie i z sufitu pojazdu zsunęła się klawiatura. Na przedniej szybie wyświetliło się Google. — Poszukaj, gdzie ten klub jest.

Vincent wstukał nazwę klubu i miasta w wyszukiwarce i kazał jej szukać.

— Mam, jest nawet mapka — powiedział Vincent, pokazując palcem.

— Świetnie, wprowadzimy ją sobie do komputera pokładowego — odparł John.

— „Klub Torrents został założony przez użytkowników programu Torrent, początkowo niszowy, szybko zyskał sobie popularność organizowanymi tam koncertami gwiazd światowej sławy. Dwa lata temu do bywalców klubu dołączyli także użytkownicy innych klientów, głównie eMule'a i eDonkey'a”. Tyle na stronie. A nie, jest coś jeszcze. Wczoraj był koncert Nine Inch Nails.

— Nieźli są — powiedział John.

— Słyszałeś ich? — spytał Vincent.

— Nie, ale sam czytałeś, że światowe gwiazdy tam występują — odparł John.

— Mniejsza z tym. Susan też nie odbiera komórek. Włączyłem u Friedy automatyczne łączenie, ale wciąż nic.

Przemknęli przez miasto i pół godziny później byli pod klubem „Torrents”. Miasto powoli się zapychało do poziomu sobotniego. Udało im się wykorzystać jeszcze poranny luz. Nowy Jork był miastem 24-godzinnym i nie było tutaj większych przerw. Oczywiście, daleko mu było do Tokio, gdzie po kolorze nieba było łatwiej rozpoznać porę, niż po ruchu na ulicy. Vincent wysiadł i znowu dał Johnowi pretekst do „gadania” z żółwiem.

— Pilnuj auta — powiedział John.

— Dobra — „odpowiedział” Lecter.

— Zupełnie nie można ufać tym ulicznym wyrzutom — powiedział John, kiedy podchodzili do klubu.

Klub był zamknięty, ale kiedy zapukali kilka razy, na wysokości oczu odsunęła się metalowa zasuwka i obaj ojcowie ujrzeli fragment czyjejs twarzy, a dokładniej: usta. Widocznie drzwi były projektowane na niższą osobę.

— Czego? — spytał i od razu dodał: — Zamknięte!

— Szukamy kogoś — powiedział Vincent. — Mamy podejrzenie, że byli tu wczoraj.

— Teraz nie ma nikogo — odparły uparcie usta.

— Chcielibyśmy pomówić z obsługą — nie poddawał się Vincent.

Niestety otwór na oczy zamknął się.

— To kropka — powiedział John.

Vincent usiał na schodach i spuścił głowę. Długie włosy opadły na oczy i zasłoniły twarz. Być może jego córka wraz z synem sąsiada pojechali na pierwszą wielką przygodę do wielkiego miasta, ale Vincent nie chciał ryzykować, że jest inaczej. Gdyby mógł, modliłby się do wszystkich bogów, jakich ludzie sobie wymyślili. Niestety, po pierwsze: nie gwarantowało to sukcesu, po drugie: on akurat nie miał takiej możliwości.

— Daj mi moją skrzynkę — powiedział do Johna.

Podeszli do samochodu, Vincent wyjął swoją skrzynkę i rozejrzał się. Zlokalizował publiczny szalet i ruszył tam.

— Poczekaj na mnie — powiedział.

— Dobra — „odpowiedział” Lecter.

— To nie do ciebie było — zwrócił uwagę John.

— Wypałuj się, cwelu — warknął zółw, chociaż Vincent nigdy nie sądził, że zółwie mogą warczeć.

Ale nie zastanawiał się nad tym głębiej. Wpadł do toalety, sprawdził, że nikogo nie ma w kabinach, zablokował drzwi miotłą i podszedł do skrzynki.

IV.

Hello, darkness, my old friend

I've come to talk with you again

— przeleciało mu przez głowę, kiedy ustawiał szyfr-klucz na kłódce. Kodem było 667, liczba

bestii rozciągnięta w nieskończoność, czyli 666,666... a w okresie 666,(6), co przy zaokrągleniu daje 667. Ot, taki żart, o którym mógł wiedzieć tylko on. Kłódka puściła, prawie się Vincentowi zdawało, że wieko syknęło niczym drzwi w autobusie. Przelknął ślinę i powoli podniósł je. W środku znajdowała się Ciemność, a raczej jej symbol — przypominała oleistą ciecz, która falowała niczym wzburzone morze. Pełna napięcia, oczekiwała dwadzieścia kilka lat na ponowne połączenie ze swoim panem, teraz bynajmniej nie zachowywała się gwałtownie. Zaraz po otwarciu zafalowała gwałtownie, po czym się uspokoiła. Vincen wiedział, dlaczego tak się stało. Choć nie lubił się do tego przyznawać, czasem ciągnęło go, żeby sięgnąć po dawną moc, dawną siłę, dawne możliwości, ale wiedział, że zaprzepaściłby to, co z takim mozolem budował. Teraz jednakże uznał, że zachodzi konieczność sięgnięcia po Ciemność. Zanurzył rękę w skrzynce. Ciemność nie przypominała w dotyku cieczy, tylko mnóstwo drobnych kulek, choć jeszcze nie pyłu. Czasami, będąc w sklepie ogrodniczym zanurzał dłoń w worek z ziarnem, żeby sobie przypomnieć to uczucie. Kiedy czasem — ale nie więcej niż kilka razy — zakradał się do piwnicy, do ukrytego pokoju i otwierał na chwilę skrzynkę, żeby popatrzeć, po prostu popatrzeć, Ciemność próbowała się wydostać. W panice zamykał skrzynkę i obiecywał sobie, że więcej nie wróci. Za czwartym razem już nie obiecywał, ale też Ciemność szybko nauczyła się, że to nie jej czas. Cierpliwie czekała, nie wiedząc, czy jest na co. I w końcu się doczekała.

— Chodź — powiedział szeptem, prawie nie naruszając dźwięku ciszy.

Ciemność zaczęła się podnosić, tworząc szpic, wijący się jak wąż, albo płomień ognia. Oplotła jego prawą rękę i zaczęła zagarniać coraz większą powierzchnię ciała, ostatecznie kryjąc się pod ubraniem i we włosach. Vincent poczuł potęgę, aż oszołomiony zatoczył się. Spojrzał w lustro i wydał się sobie piękniejszy. Uśmiechnął się, a śmiech jego, choć cichy, odbił się pogłosem po całej toalecie. Ach, już zapomniał jak to jest być Księciem Ciemności. Jakież to było wspaniałe uczucie!

Ktoś zapukał do drzwi, przywołując go do porządku. Musi się kryć, niczym złoczyńca, prosty wieśniak w domu pańskim. Przypomniawszy sobie Caroline i swoje córki, szczególnie Susan w tych okolicznościach i już wiedział, że tak być musi. Tak naprawdę nigdy nie chciał powrotu do tego świata intryg, walk o przewagę, dominację i rząd dusz ze swoim wielkim oponentem. Chciał tylko przez chwilę poczuć cień dawnej potęgi i na powrót wrócić do swojego domku na przedmieściu z białym płótkiem i trochę zaściankowym stylem życia. Zamknął kufer i wyszedł, ponieważ ktoś coraz dobitniej dobijał się do drzwi. Wychodząc, minął jakiegoś emeryta, który coś wykrzykiwał za nim.

John siedział w samochodzie i... rozmawiał z Lecterem. A przynajmniej do niego mówił. Zastanawiało Vincenta, co też biedny, głuchy zółw mógł sobie pomyśleć o swoim panu. Pewnie

nic, chociaż jego spokój w przypadku tego gatunku mógł zastanawiać. I zastanawiał. Vincent schował skrzynkę do bagażnika i powiedział:

— Drugie podejście, szanowny sąsiedzie.

John zanim wysiadł powiedział za Lectera:

— On się zmienił, mówię ci.

Vincent zignorował to i zapukał raz jeszcze do drzwi, mocniej niż poprzednio. Uchyliło się okienko i Vincent powiedział:

— Wpuścisz nas i pomówimy z twoim szefem.

John wyczuł zmianę. Była w zachowaniu jego sąsiada jakaś władczość. I to skuteczna, ponieważ drzwi stanęły otworem. Obaj weszli do lokalu. Miał podłogę z ciemnego drewna, ciemniejszą, również drewnianą lamperię, beżowo-kremowe ściany były gładkie, a jedynym elementem wyróżniającym lokal były antyramy z logami różnych programów p2p: iMesh, eMule, eDonkey, Torrent, Direct Connect, Bearhare, KaZaA i w centralnym miejscu — Napster. Ten, który zapoczątkował to wszystko i w końcu poległ, choć zostawił po sobie wspomnienie. Vincent nie był pewien, czy Napster nie wrócił w płatnej formie, ponieważ nie korzystał z tego typu programów. Słuchał tak niewiele muzyki, że mógł ją kupować, jeszcze przy swoich zarobkach. W swoim życiu na przedmieściach chciał być maksymalnie uczciwy, żeby nie zwrócić na siebie uwagi władz ani nikogo w ogóle. Dziwiło go, że środowisko jest tak prężne, iż ma swój własny klub, na który zaprasza na koncerty zespoły, które okrada. Ot, jeden z paradoksów życia.

Podszedł do nich jakiś chudzielec w okularach, bysior przed drzwiami zniknął.

— Czego? — spytał.

Vincent złapał go za poły marynarki i przyciągnął do siebie, ich spojrzenia spotkały się. Spojrzenie Vincenta uosabiało pewność siebie, młodzieniaszka — strach, czysty strach.

— Mamy kilka pytań — powiedział Vincent spokojnie.

— O-oczywiście — odparł mężczyzna. Kiedy Vincent go puścił, ten poprawił okulary i ubranie. — Nie ma powodów do nerwowości.

— Wierzmy, że są — odpowiedział John, który też chciał brać w tym udział.

— Wczoraj był tu koncert, na którym była najprawdopodobniej moja córka — powiedział Vincent.

— I mój syn — dodał John.

— Oto ich zdjęcie — powiedział Vincent, pokazując je mężczyźnie. — Może widział ich pan tutaj wczoraj? Bardzo by nam zależało na jakiejś informacji.

— N-nie wiem, nie przyglądałem się nikomu, to nie moja działka. Ale Butch wczoraj był. Hej, Butch! — zawołał mężczyzna do ochroniarza. Bał się. Nie do końca wiedział dlaczego:

bliskość Księcia Ciemności zawsze budzi lęk, choćby miał to być lęk podświadomy. — Panowie mają do ciebie pytanie.

Butch pojawił się od razu, przedstawiając swoją postawą chęć do bitki. Teraz dał szansę przyjrzenia się sobie — ubrany był w ciemno popielate bojówki, buty wojskowe, ale na górze robił się bardziej elegancki i przywdziewał czarny golf oraz granatową marynarkę. Mina zdradzała udział w większej liczbie bójek barowych, może nawet był bokserem, ale raczej nie w żadnej lidze — jakieś podziemne walki bokserskie w oparach dymu i krzyku obstawiających gangsterów. Włosy miał dłuższe, aczkolwiek zaczesane do tyłu, niczym latynoski lowelas z serialu karate; najprawdopodobniej była to bardziej subtelna odmiana czesania się „na pożyczkę”. Vincent zastanawiał się, jak zacząć rozmowę i zdecydował się na pytanie. Jednak. Pokazał Butchowi zdjęcie.

— Czy widziałeś tutaj tych dwoje wczoraj? — spytał i od razu dodał: — Jestem ojcem tej dziewczyny, a to ojciec tego chłopaka. Niepokoimy się.

Paskudne zagranie na emocjach, lecz tak naprawdę mógł to być strzał kulą w płot, gdyż Butch mógł być obity w swoją pokiereszowaną głowę o jeden raz za dużo. Albo miał ciężkie dzieciństwo. I emocji brak, tylko reakcje układu nerwowego na zmienne oświetlenie w otoczeniu. A jednak coś Butcha ruszyło. Naturalnie, nie zagranie Vincenta, ale zaczął zezować w prawo, a to znaczy, że coś sobie przypomina. Jednakże kiedy mówił:

— Nie widziałem ich — wtedy jego oczy skierowały się w lewo.

Kłamał.

(Bardziej fachowo rzecz ujmując, nie przypominał sobie, tylko wymyślał, ale w tym kontekście mogło to znaczyć tylko to).

Vincent wyprowadził kopniak kolanem, który dosięgnął pachwiny Butcha. Wszystko działo się tak szybko, że ten nie zdążył zareagować i upadł cicho jęcząc.

— Matko boska! — zawołał przestraszony szczypiorek w okularach Harry'ego Pottera. — Boże! — dodał po chwili.

— Żadne z nich ci nie pomoże — powiedział Vincent, kucając. — Jeśli mógłbym prosić, nie wzywaj również Jezusa. — Spojrzał w twarz skręcającemu się na podłodze Butchowi, ale ten był zajęty swoim bólem. Złapał jego twarz, ścisnął i ustawił ją przodem do swojej. — Nie kłam, nie zmyślaj, nie kryj nikogo. Chcę tylko odnaleźć moją córkę i gotów jestem skrzywdzić wielu ludzi, żeby to osiągnąć. Rozumiemy się?

— Byli dwaj goście i pytali o nich — odpowiedział. — Pomachali mi legitymacjami przed oczami i powiedzieli, że są z NSA. Nie pamiętam nazwisk.

— Bardzo ładnie — powiedział Vincent. — Kiedy to było?

— Wczoraj, po koncercie — odparł Butch, okazując poprawę. — No, w zasadzie na

koncercie, ale pod koniec.

Vincent spuścił głowę. Po pierwsze — najprawdopodobniej zabrali ich, po drugie — to raczej porwanie Kevina niż Susan, Vincent nie chciał wierzyć w angażowanie NSA przez osobnika z jego ogródka. Ale fakt, czyje dziecko było przyczyną, miało drugorzędne znaczenie. Cel pozostawał bez zmian.

— Co tu się dzieje?! — krzyknął nagle ktoś.

Vincent wstał i ujrzał jakiegoś dzieciaka. Był starszy od Harry'ego Pottera, z którym rozmawiali w pierwszej kolejności, ale ubrany w podkoszulek i dzinsy, co niwelowało różnice. W niezawiazanych trampkach szedł dumny, pewny siebie i święcie oburzony w stronę Vincenta i Johna. Stanął przed nimi, wsparł ręce na bokach i zaczął krzyczeć:

— Co to ma znaczyć?! Proszę wyjść!

— Steve, daj spokój, panowie tylko... — zaczął Harry Potter, ale Steve go nie słuchał.

Słowa ugrzęzły mu w gardle, kiedy poczuł po pierwsze: ścisk w nim, po drugie: że się unosi. W kolejnej chwili dostrzegł, że Vincent ściska pięść i niejako unosi go w powietrzu siłą woli.

— Już idziemy — powiedział. — Chcieliśmy się tylko czegoś dowiedzieć.

Puścił Steve'a, który upadł na podłogę, dusząc się przez chwilę. Spokojnie wyszli i siedli w samochodzie. Vincent był zły na siebie, że tak popisowo wykorzystał przywrócone moce. Było to głupie i nieodpowiedzialne. Kiedy był Księciem Ciemności nie musiał się tym raczej przejmować, może w sytuacjach publicznych, w których z założenia nie bywał. W takim klubie mógł urządzić masakrę i potem to zatuszować. Teraz też mógłby, ale nie chciał uruchamiać całej maszyny dawnych znajomości. Pod tym względem przeszłość ani trochę nie przypominała bumerangu, a raczej gumę do zucia, która zaplątywała się w palce. Im bardziej chciało się ją odkleić, w tym większej liczbie miejsc się przylepiała. I podobnie byłoby tu — uruchomiłby jedną znajomość, żeby coś zatuszować, musiałby uruchomić drugą, żeby zatuszować wykorzystanie tej pierwszej, a potem trzecią do tej drugiej itd. Najprawdopodobniej jednak panowie nic nie zrobią. Dość się najedli strachu. O ile nie zjawi się jakiś mądrala, to będą chcieli odsunąć to w niepamięć. Tym bardziej, że zaangażowane w to było już NSA, ludzie, których od morderców różni tylko nazwa, według złośliwców. Najprawdopodobniej jednak przesadzał w swoich obawach. Przez dwadzieścia kilka lat „skurczył się”, a teraz ubrał za szerokie ubranie i trochę się gubił. Musi się pozbyć Ciemności jak najszybciej, nie chce jej, nie chce tej mocy, nie chce tej odpowiedzialności, nie chce tego brzemienia.

Ze spirali rozmyślań wyrwał go John, który swoim beznamiętnym, choć wykazującym zainteresowanie tonem spytał:

— Jesteś Jedi?

Vincent docenił abstrakcyjność pytania. To pozwoliło wrócić mu do rzeczywistości.

— Jestem Sith — odpowiedział.

— Ta czerń... tak myślałem — stwierdził John, pozując na znawcę.

Obaj wybuchnęli śmiechem.

— Ale serio, mamy jakiś pomysł? — spytał Vincent. — Nie chcę uruchamiać dawnych znajomości, bo to dodatkowo skomplikuje sprawę.

— Mamy — powiedział John, wyjmując komórkę z szarej saszetki przy pasku. Wybrał numer i kiedy po drugiej stronie ktoś odebrał, powiedział: — Hej, daj mi Harry'ego. — A po chwili: — Harry, musisz nam pomóc zlokalizować tych dwóch agentów NSA, nie wiem, na ile to poważne. — Chwilę słuchał. — No, wiem, ale wierzę, że możemy z Vincentem ci jakoś ich wynagrodzić. Słowo. — I znowu słuchał. — Halo? Halo? O, Frieda, to ważne, chodzi o... dobra, poczekamy.

Połączenie zostało zakończone.

— I co? — spytał Vincent.

— Wierzę w nią — odparł John, wyciągając się na siedzeniu.

— Może odjedźmy sprzed „Torrents”, żeby nie drażnić Steve'a, Butcha i Harry'ego Pottera — zaproponował Vincent.

— Słusznie — zgodził się John i odpalił samochód.

Kiedy przejechali — co prawda, niedaleko, bo na sąsiednią ulicę — Vincent powiedział:

— Opowiedz mi o niej.

John spojrział na niego badawczo.

— Jesteś pewien? — spytał. — Pytam, bo już opowiadałem o niej i kończyło się na głupich działaniach słuchaczy.

— Zaryzykuję — powiedział Vincent po chwili zastanowienia. — To moje idee fixe. Może jak mi o niej opowiesz, to przeskoczę dalej.

— No dobrze... I myślę, że mogę opowiedzieć ci więcej, bo masz świadomość istnienia tego drugiego świata, którego szarzy obywatele nie dostrzegają.

— Och, John, kiedy skończysz, ja opowiem ci o światach, o których praktycznie nikt nie ma pojęcia — powiedział Vincent, czym zaskoczył bardziej siebie niż Johna; tego ostatniego w zasadzie nic nie dziwiło, wysłuchiwał wszystkiego z takim samym zainteresowaniem.

Zaskoczyło to Vincenta, ponieważ była to próba przekupstwa. Ja opowiem ci coś tajemniczego, ty opowiedz mi o tej kobiecie. Co było w niej takiego, że zamiast myśleć o ratowaniu swojej córki, swojego skarbu, wciąż — mniej lub bardziej świadomie — majaczył o tej chudej jak szczapa, ze zniszczonymi włosami, małymi piersiami i ziemistą cerą dziewczynie? Musiała to być jakaś potężna moc, skoro nawet po połączeniu z Ciemnością nie potrafił się

powstrzymać. Przeróżające, w istocie.

— Frieda jest długowieczna, jak już wspominałem — zaczął John. — Jak wiadomo, długie życie owocuje nasyceniem bodźców, przesuwaniem granic, ogólnie pojętą transgresją. Co się nie rozprzestrzenia, to się kurczy; co się nie podgrzewa, to się ochładza, stan pośredni jest utrzymywaniem równowagi między tymi dwoma tendencjami. I jest cholernie trudny do utrzymania. Frieda w zasadzie nie ma pamięci emocjonalnej. Pamięta emocje sprzed ostatnich pięciu lat. Wcześniej tylko wydarzenia. Taki mechanizm pozwala jej nie ześwirować po tym, co dane jej było widzieć w życiu.

— Cudowna — powiedział Vincent. I czego już nie dodał: „O wiele bardziej pociągająca dla kogoś takiego, jak ja”.

Wyobraźnia zaczynała działać, zaczynał w myślach przypasowywać się do Friedy, wyobrazać, jak dosiada jej późną porą, jak wraca do domu i ona już tam jest, jak jadą gdzieś jakimś zawadiackim samochodem. Wyobrażał sobie, że kiedy są zacinu własnej alkowy wymieniają szept, pocałunki i pieszczoty.

Nie! Dość! Vincent, masz rodzinę, a Frieda jest zajęta i nie zainteresuje się tobą pod żadnym pozorem. Myśl teraz o Carolinie, Carolinie, o Susanne i Marianne...

— Czy ty mnie w ogóle słuchasz? — spytał John kontrolnie.

— Co proszę? — wydusił z siebie Vincent na prędcę.

— Mówiłem, że z tego powodu to nie jest dobry materiał na romans. Zbałamuci i porzuci. — Rzeczowość Johna i chłód z jakim, to wszystko mówił, przywodził na myśl coroczne walne zebrania akcjonariuszy, którym odczytuje się, ile zarobiły ich akcje w danych roku.

— Masz rację — powiedział Vincent, odsuwając wręcz gwałtem od siebie myśli o Friedzie. — Nie opowiadaj mi o niej więcej, nawet gdybym prosił.

— Dobrze — powiedział John.

Złapał go za krawat i przyciągnął do siebie.

— Pod absolutnie żadnym pozorem, rozumiesz? — spytał Vincent.

— Dobrze — odpowiedział identycznie John. — A teraz twoja kolej.

— Co? Moja? — spytał zaskoczony Vincent. I skojarzył, że jest coś winien swojemu sąsiadowi. — A tak, co wiem.

— Właśnie.

— No cóż, słowo się rzekło... — zaczął Vincent, ale John nie dał się zbić z pantafyku:

— Kobyła u płotu — powiedział.

— No dobrze, chciałem ci opisać kim jestem, ale w tym celu muszę zacząć od kosmologii, chyba że odpowiedź, iż jestem Księciem Ciemności będzie wystarczająca? — spytał Vincent.

— Wijesz się jak jesiote przygnieciony łapą niedźwiedzia do kamienistego brzegu —

powiedział John.

— Cóż za porównanie — powiedział z podziwem Vincent.

— Nie, nie, pochlebstwem też nic nie wskórasz. Jeżeli mój sąsiad jest Sith, a ja mogę o tym posłuchać, to nie odwiedzisz mnie od tego. Tym bardziej, że się zdeklarowałeś. — Na koniec John wyszczerzył swoje białe zęby w geście zwycięzcy.

— No dobrze... W Biblii stoi, że na początku bóg oddzielił światło od ciemności. To kłamstwo. Ten podział istniał od zawsze. A bóg się tylko pod to podpiał. Nie ma w tym nic niezwykłego, każdy z bogów to robi — od egipskich, przez greckich, po dzisiejsze niedobitki. Mógłbym przegadać o różnych kartelowych rozwiązaniach starych bogów, które nowi, zazdrośni i pazerni, zignorowali. Cóż, nie tylko wśród ludzi dochodzi do walk o stolki. Istotne jest, że rzeczywistość tworzą dwie przeciwstawne siły, spośród których żadna nie dominuje. Czasami przedstawia się to za pomocą znaczka jin-jang, tyle że bez kropek, same dwie łezki. Jedna siła to światłość, druga — ciemność. Choć mogą to też być — dobro i zło, kobieta i mężczyzna, białe i czarne, i tak dalej, i tak dalej. Nazywanie ich jest na swój sposób kłamstwem, bo przypisuje im konkretne cechy. Przez prawie cały czas ja posiadałem Ciemność na władanie. Ponieważ Światłość zmieniała Panów, była minimalnie słabsza. Stąd manichejczycy wysnuli wniosek, że świat stworzyła zła strona.

— Jesteś zły? Szatanem?

— Szatan to wymysł judaizmu, oznacza „nieprzyjaciel” i nigdy nie używałem go jako imienia. Jak już coś, to wołałem Lucyfera, który też pochodzi z Biblii i oznaczał „niosący pochodnię”. Książę Lucyfer w swoim księstwie rzeczywistości. I nie jestem złem — jestem wolnością. Wolność to wybór, ale też duże prawdopodobieństwo pomyłki, błędu i upadku. Nowi bogowie, rygorystyczni i surowi dają bezpieczeństwo, kosztem wolności. W istocie człowiek podejmując jakąkolwiek decyzję, wybiera między nie dobrem i złem, a wolnością i bezpieczeństwem. Ale to wszystko przeszłość, ponieważ dwadzieścia lat temu poznałem Carolinę i postanowiłem zostać człowiekiem. Brzmi to banalnie i jak z kiepskiego opowiadania pisanego w biurze podczas przerw w zajęciach służbowych, ale takie jest czasami życie — co najmniej jak film romantyczny. W końcu inspiracji do nich scenarzyści nie biorą z powietrza. I to w skrócie tyle.

— Ale czekaj... jak to przestałeś być szatanem, tak po prostu?

— Znalazłem aktualnego pana Światłości, który robi z niej dość nietypowy w porównaniu choćby do chrześcijańskiego boga użytek. On mi pomógł oddzielić Ciemność i zamknąć w tej skrzynce, którą masz w bagażniku.

— Hmm... — westchnął John. Bynajmniej nie dlatego, że się zamyślił czy zadumał, tylko nie wiedział, co powiedzieć.

Z opresji wyratował go telefon.

— Halo? — odezwał się. — Cześć. No i co postanowił? Dobra, daj mi go. No, cześć Harry. A-ha, a-ha, no chyba wiem, gdzie to jest.

Połączenie zostało zakończone.

— Powiedział? — spytał z niepokojem w głosie Vincent.

— Tak.

V.

Samochód zatrzymał się przed opuszczoną kamienicą z początku XX wieku. Sądząc ze stanu, w jakim była, ludzie musieli się wynieść z niej niedawno. Na ostatnim piętrze świeciło się światło w oknie narożnego mieszkania. Nie było jeszcze bardzo późno, ale niebo spochmurniało.

— Lecter, pilnuj samochodu — powiedział John, odwracając się do siedzącego niezmiennie przez całą podróż i oglądającego wszystko z godnością angielskiego lorda na tylnej półce samochodu.

Vincent postanowił zrobić uprzejmość Johnowi i wysiadł.

— Dobra — „powiedział” Lecter.

Vincent otworzył drzwi z kopa — budynek miał cztery piętra, więc raczej nie usłyszeli i tak — i wkroczył w zimny mrok zawałonego niewielką ilością śmieci korytarza. Głównie kartony, w których pewnie spali bezdomni. John dołączył do niego szybko. W ręce trzymał młotek. Na szczęście podłoga nie była drewniana, bo pewnikiem skrzypiałaby, zdradzając ich obecność. Podeszli pod windę, ale wszystkie znaki na ziemi i niebie wskazywały na to, że jej nie ma, a nawet gdyby była, to nieczynna. Przez uchylone siłą drzwi zionęła czarna pustka. John wskazał na zwisający kabel.

— Jednak jest — powiedział.

Vincent nic nie odpowiedział, tylko ruszył schodami w górę. Zachował raczej minimum ostrożności, ale na nikogo się nie natknął. Naprawdę czujny zrobił się, kiedy podeszli pod ostatnie piętro. Wyjrzeni zza schodów — interesujące mieszkanie było na końcu korytarza.

— Trzeba będzie przebiec, bo skradanie się jest zbyt niepewne — powiedział Vincent, chcąc jak najmniej korzystać ze swoich mocy. Tylko myśli o Friedzie popychały go do brawury i efekciarstwa. Na szczęście ta była daleko.

— Wątpię — powiedział John. — Ta buda cała chodzi, dlatego jest do rozbiórki. Założę się, że moglibyśmy spokojnie przejść i wejść tam. I dopiero wtedy zaczęłyby się schody. — To

mówiąc, spojrzął pod stopy. — Chociaż wydawać by się mogło, że mamy je już za sobą.

Wspiął się na szczyt schodów i ruszył piętrem w kierunku drzwi. Tak, jak przewidział, nikt go nie niepokoił. Kiedy doszedł do drzwi po swojej prawej ujrzał Vincenta. Prawie wyrwało mu się z ust pytanie „Ale jak?”. Vincent przyłożył mu czubek palca do ust. Poczł, że są suche jak pieprz. John otworzył z buta drzwi i stanął w rozkroku i z młotkiem w ręce.

— Gdzie mój syn?! — zawołał i od razu ratował się schronieniem za framugę, jak tylko ludzie w środku zaczęli strzelać.

Po chwili przestali, ponieważ nie było celu. Czekali. Nic nie mówili. Vincent przeanalizował sytuację i zobaczył kilka możliwości: a) wpada frontalnie i rozbraja ich przy pomocy czarów, b) wchodzi do mieszkania obok i przechodzi szerokim neoklasycystycznym gzymsem, a następnie zachodzi ich od tyłu, c) grają na zwłokę i zmęczenie. Po krótkim namyśle wybrał wariant „a”. Wskoczył do środka przez otwarte drzwi, jednocześnie wytwarzając wokół siebie pole, które zatrzymało wszystkie kule. Kiedy agenci, ubrani w gustowne czarne garnitury z białymi koszulami i czarnymi krawatami, zorientowali się, że coś jest nie tak — tj. po skończeniu magazynków — rzucili broń i zaczęli kombinować. Jeden z trójki agentów — w pierwszej chwili Vincent ich nie policzył — złapał stojącą koło łóżka lampę i ruszył dziarsko na niego. Wyglądał groźnie, ale tylko do momentu, kiedy okazało się, że nie wypiął lampy z gniazdka i szarpnęło go do tyłu. Upadając, uderzył się w głowę i złapał za nią. Drugi rzucił się z pięściami, ale cios wyprowadzony przez Vincenta w rękawiczce z utwardzeniami na knykciach złamał mu nos. No, powiedzieć, że złamał, to prawie skłamać. Cios, podobnie jak przy uderzeniach z kastetem — bo w gruncie rzeczy taką rolę spełniły ochraniacze — był bardzo mocny i bardzo okaleczający. Jego nos był dosłownie wciśnięty w zagłębienie w środku twarzy. Trzeci agent stał i wahał się pomiędzy następującymi rozwiązaniami: a) bieg naprzód, przeciśnięcie się pod pachą Vincentowi i dalej korytarzem w długą oraz b) skok przez okno. Vincent postanowił dopisać wariant „c”, najmniej okaleczający ciało.

— Chcemy zadać ci tylko kilka pytań — powiedział. — Na twoim miejscu zgodziłbym się.

— Nie dostaniecie mnie! — zawołał, dalej rozważając swoje dwa pomysły.

W końcu ruszył w stronę okna, do którego miał bardzo blisko zresztą. Do akcji wkroczył John, który uderzył go młotkiem w okolicach prawej łopatki, wywracając przy tym. Agent zawył z bólu i złapał się w okolicach uderzenia. John złapał go za marynarkę i posadził na krześle. Wziął lampę, z którą szarżował pierwszy agent (obecnie z przerażeniem śledzącego wydarzenia) i odgryzł kabel, którym przywiązał trzeciego do krzesła. Drugi się nie ruszał i nic nie wskazywało, żeby miał nagle zacząć to robić. Przy pomocy kilku innych kabli przywiązał trzeciemu również jego ręce i nogi. Następnie wziął młotek do ręki, złapał agenta za głowę i

odchylił do tyłu.

— Vincent, przeczytaj nam z kim mamy do czynienia — powiedział.

Vincent, ciekaw, co też John może zrobić dalej, nie protestował, że się nim rządzi — co zresztą byłoby bez sensu, ponieważ mają wspólny cel i sprzeczki im były potrzebne jak trzeci cycek — i posłusznie wyciągnął z marynarki portfel i otworzył go.

— Robert Golden — przeczytał na prawie jazdy. — No proszę, jakie ładne dzieci... — zaczął Vincent, ale John postanowił mu przypomnieć, kto prowadzi przesłuchanie. W roli podwójnie złego gliniarza.

— Powinieneś więc doskonale rozumieć nasze zaniepokojenie. — Agent nic nie powiedział. — Wiesz, drogi sąsiedzie, ostatnio mój syn oglądał film o człowieku, którego 14 lat trzymali w pokoju. Kiedy wyszedł, postanowił się zemścić. Przy pomocy takiego fajnego młotka z dwoma ząbkami do wyrywania gwoździ przesłuchał pewnego pana.

Vincent zajrzał do drugiego pokoju, gdzie zastał związanego na leżącym na podłodze materacu Kevina. Zdjął mu opaskę z oczu i oswobodził.

— Gdzie jest Susan? — spytał.

— Nie wiem, zamknęli nas tutaj, a po jakimś czasie słyszałem, jak ktoś przyszedł i wtedy jeden z agentów przyszedł i zabrał ją. Od tamtej pory siedzę tutaj sam. — Kevin był w przeciwieństwie do ojca przejęty sytuacją i było to po nim widać.

— Gdzie was zgarnęli?

— Zaraz po koncercie, ledwie wyszliśmy.

— Chodź.

Wrócili do pomieszczenia z agentem, który przez cały czas wydawał z siebie przytłumione krzyki w takt uderzeń młotkiem. Vincent chciał w pierwszej chwili zasłonić Kevinowi oczy albo coś, ale przypomniało mu się, że to on dostarczył ojcu inspiracji. A było na co popatrzeć — agent, cały mokry od potu i ze skarpetkami w ustach wywijał głową niczym wąż przygnieciony kamieniem, podczas gdy John młotkiem miażdżył mu palce. Trzy były już tylko wspomnieniem.

— O, znalazłeś ich — powiedział trochę zaskoczony John. — W sumie mogliśmy zacząć od przeszukania.

— Jest tylko Kevin. Dowiedziałeś się, czego chcą? — spytał Vincent.

— Chcą mnie kontrolować — odpowiedział John. — Widzisz, drogi sąsiedzie, branża porno to też jest przykrywka; tak się składa, że mam ich kilka. W istocie, skoro podzieliłeś się ze mną swoją tajemnicą, jestem również producentem broni i przeróżnej aparatury szpiegowskiej. Ostatnio poróżniliśmy się z dyrektorem NSA w kwestii dostaw sprzętu do inwigilacji dla wojska i służb specjalnych. Mój jest lepszy, ale on chce przeforsować firmę

znajomego. Dziwnym trafem ostatnio był na wczasach w Bangkoku. Zagroziłem mu ujawnieniem wszystkiego i jak widzę zamiast zmądrzeć, idzie w zaparte.

— Od początku wiedziałeś? — spytał Vincent.

— Nie, ale jak usłyszałem o NSA, to obstawiałem ten typ. Potem opowiedziałeś mi swoją historię i wyeliminowałem twój udział. A teraz poznałem pana Goldenę, który jest prawą ręką wyżej wspomnianego dyrektora NSA. O to chodzi? — spytał Goldenę, wyjmując mu skarpetkę z ust.

— Tak, do chuja Waclawa — odparł agent. — Ja pierdolę, zmasakrowałeś mi stopę, ty chuju poje...

Skarpetka powędrowała z powrotem do ust.

— Nie przeklinaj przy moim synu — powiedział John. — Przepraszam za ten knebel, ale nic lepszego nie było pod ręką — dodał, poklepując go po plecach.

— Mógł się udusić od własnego smrodu — zażartował Kevin.

— Nie, taki knebel pochłania ślinę i szybko doprowadza do uczucia suchości w ustach — wyjaśnił Vincent. — Ale, sąsiedzie z młotkiem, takimi rzeczami przejmuje się podczas kneblowania dla przyjemności.

Podszedł do Johna i przejął od niego młotek, następnie wyrwał skarpety z ust Goldenę i zahaczył mu młotek na zębach w ten sposób, że widelki do wrywania gwoździ były jeden po wewnętrznej stronie zęba a drugi po zewnętrznej. Teraz wystarczył lekki obrót, żeby pozbawić go zęba.

— Też oglądałem „Oldboya”, już bez rodziny — powiedział do Johna. — Goldenę, opowiedz mi o człowieku, który przyszedł po moją córkę.

— Nie mogę — odparł Goldenę. — To naprawdę szczycha, jeżeli go wydam, to załatwi moją rodzinę. Zrozum.

Vincent ciężko westchnął.

— Droga wyjątku nie przekręcę jeszcze młotkiem — powiedział. — Ale gwarantuję ci, że czerwonołosy nie tknie twojej rodziny, kiedy z nim porozmawiam. To on, prawda?

Agent był zdziwiony.

— S-skąd wiesz? — spytał. — Znacie się?

— To za dużo powiedziane — odparł Vincent. — Jesteśmy świadomi swojego istnienia. Wydaje mi się, że chce mnie do czegoś zmusić. Ale kiedy z nim pomówię, zmieni plany. I nie uwzględni w nich twojej rodziny, z interesujących cię rzeczy. Mnie z kolei interesuje, jak wam się przedstawił i czy jesteś w stanie pomóc mi go odnaleźć. Radzę współpracować, bo jeżeli nie, to i tak wspomnę o tym, że byłeś wielce pomocny.

Widząc wahanie Goldenę, przyłożył mu młotek do jedyńki, ale sam się zawahał. Ludzka

natura — rodzinny Vincent Paldrige — nie chciała tego robić. Takie działania niszczą człowieczeństwo sprawcy. Może było to obojętne Johnowi Karzowowi, który człowiekiem nie był, ale Vincent już nie był wszechpotężnym Lucyferem, który porusza się ponad wszelkimi zasadami. Człowieczeństwo to krucha rzecz, trzeba je chronić. Wtedy jednak pomyślał o Susan — gdyby trzeba było, to dla niej powybijalby wszystkie zęby świata, byleby ją uratować. Postanowił zaryzykować i skorzystać z mocy. Sprawił, że w jego oczach odbiła się najprawdziwsza z prawdziwych otchłani, nieskończenie wielka pustka. Tak spojrział agentowi prosto w oczy, młotkiem kontrolując, żeby się nie odsuwał.

— Howiem, howiem! — zawył agent. Vincent wyjął mu młotek z ust i schował otchłań. — Ten człowiek, to coś!, nie wiem, czy to w ogóle jest człowiek używa dwóch nazwisk. Devilyn Munroe, a ostatnio Devilyn Mason.

— Devilyn? — spytał John.

Vincent spojrział na niego, obróciwszy samą głowę. Pytająco uniósł brew.

— Współpracuję z nim od czasu do czasu, potrafi wyczarować czasem niesamowite informacje, które potem drogo sprzedaje. Ale zawsze się opłacało. Czy to jakiś twój dawny współpracownik?

— Jak mówilem znamy się tylko z widzenia, a jedno o drugim nic nie wie — odparł Vincent. Obrócił się z powrotem do Goldeny. — Gdzie on jest?

Vincent poczuł dłoń Johna na ramieniu.

— Ja wiem — powiedział. — Pomagałem mu wynajmować biuro w porcie, wiesz, żeby wszystko było cacy, jeśli chodzi o papiery.

Vincent oddał mu młotek.

— Jesteście wolni — powiedział do agenta numer jeden.

— A z waszym szefem się jeszcze rozmówię — dodał John, po czym wyszli.

Kiedy zeszli na dół stanęli przed drobnym problemem — DeLorean był dla dwóch osób. No, dwóch plus zółw, ale niewiele to pomagało Kevinowi.

— A wiesz co? — spytał John Kevina. — Ojciec Susan to Lucyfer — powiedział, nie czekając na odpowiedź.

Vincenta zamurowało. Totalnie. Nie wiedział, co powiedzieć ani jak się zachować. Po chwili, która trwała dla niego nieskończoność obrócił się, żeby chociaż widzieć.

— Tak, jasne! — zawołał Kevin. — I może jeszcze Lecter ci o tym powiedział?!

— Ale serio! — zawołał John w geście obrony. — A poza tym Lecter mówi. — Otworzył drzwi. — Lecter, powiedz mu coś!

— Mówię ci coś — dobiegło z samochodu. Dziwnym trafem, kiedy Johna głowa była w środku i nie dało się dojrzeć ruchu ust.

Vincent odetchnął z ulgą.

— Wiem, co zrobimy — powiedział. — Wsadzimy Kevina do taksówki i wyślemy do Friedy i Harry'ego, a my tam dojedziemy z Susan.

— Dla mnie bomba — powiedział John.

VI.

Zanim przyjechała taksówka Kevin opowiedział im o szczegółach uprowadzenia, które w szczegółach nie odbiegało od uprowadzeń jakich dokonują funkcjonariusze NSA każdego dnia, praktycznie o każdej godzinie. Kiedy Kevin pojechał do Friedy, panowie pojechali do portu. Zaparkowali tak, żeby z okna biura, które wynajmował Devilyn Mason nie dało się dojrzeć DeLoreana. Dodatkową osłoną był dla nich deszcz, a w zasadzie ściana wody, jak lała się z nieba. Całe szczęście samochód Johna wyposażony był w odpowiednie filtry, które sprawiały, że widok przez przednią szybę był wyraźniejszy. W biurze Devilyna paliło się słabe światło. Termowizja zdradzała, że nie jest sam. Była z nim córka Vincenta.

— Kim on jest? — spytał John. — Czy to jakiś...

— Do niedawna chrześcijański bóg dysponował jasnością i ciemnością, ale zostało to zakończone przez pewnego zapomnianego boga; mniejsza o szczegóły. Po tym jak został zdetronizowany i jego hegemonia została zakończona, co niespecjalnie się odbiło na ludziach, no, jeżeli nie liczyć powrotu dawnych kultów i wierzeń, całe zastępy aniołów z Armii Boga zostały bez zajęcia. Dorabiają sobie teraz na różne sposoby. Poznałem tego gościa, jak tylko spadł mi w ogródku, ale niewiele to dawało, bo i tak nie wiedziałem, pod jakim nazwiskiem się porusza; nie pamiętam nawet, jak się nazywał jako anioł, tak podrzędną rolę pełnił. Ale chyba wiem, w co gra.

— Mam iść z tobą? — spytał John.

— Podjedź pod drzwi, przejmiesz Susan, a potem z nim porozmawiam sobie — odparł Vincent.

John postawił samochód pod drzwi od klatki schodowej, prowadzącej do biura na pierwszym piętrze. Albo antresoli hali magazynowej, ponieważ była to tylko mała wydzielona część. Obszedł samochód dookoła, moknąc trochę i wszedł do środka. Byle jakimi schodami wspiął się na wysokość pierwszego piętra i stanął przed drzwiami. Wziął wdech i przekręcił gałkę. W środku było cieplej. Anioł znany jako Devilyn Mason siedział za biurkiem i pisał coś. W pierwszej chwili wydawało się, że nie zauważył, żeby ktokolwiek wchodził. Susan siedziała na krześle pod ścianą, przykuta kajdankami do podpórki pod rękę. Jak tylko zobaczyła ojca,

chciała się zerwać, ale widząc, że Vincent bardziej interesuje się teraz Devilynem, przystopowała. Wtedy, nie odrywając się od swojego pisma, Devilyn przerwał ciszę:

— Proszę, usiądź.

W tym momencie na niebie błysnęło. Prawie od razu dołączył grzmot. Susan aż krzyknęła i podskoczyła. Vincent ruszył w stronę biurka i musnął ją w głowę po drodze. Przesunął ręką nad kajdankami, które otworzyły się, wyswobadzając jego córkę.

— Susan wychodzi — oznajmił Devilynowi.

Ten uśmiechnął się.

— Ależ oczywiście — odparł. — Nie jest mi już potrzebna.

— Na dole czeka John Karzov, nasz sąsiad. Poczekaście na mnie w samochodzie — powiedział szeptem.

— A-ale... — zaczęła Susan.

— No, już! — krzyknął. — Nie czas na przekomarzanie się, kochanie.

Susan nie protestowała więcej i wyszła.

Vincent usiadł naprzeciw Devilyna, który w międzyczasie przerwał lub zakończył pisanie. Ubrany był w popielaty garnitur i srebrną koszulę. Miał bordowy krawat i dwa odcienie jaśniejsze włosy z czarnymi odrostami. Miał czerwone tęczęwki, a lewa źrenica otoczona była białą obwódką. Vincent nie uśmiechał się i starał nic nie okazywać, nawet to, że nic nie okazuje. Devilyn czekał aż coś powie, ale Vincent nie miał zamiaru odzywać się pierwszy. Chwilę patrzyli na siebie, co było wystarczająco wymowne, ponieważ Devilyn powiedział, a raczej spytał:

— Kto powiedział, że szatana też nie wiodą na pokuszenie? — spytał retorycznie. — Po tym, jak zobaczyłem cię na szkoleniu jakiegoś bubka w Atlancie w zeszłym tygodniu, pomyślałem, że ściągnę cię i zmuszę do połączenia się z Ciemnością raz jeszcze, a następnie poczekam na efekty. Wcześniej żywcem nie mogłem cię namierzyć. Wszystko to przyszło mi to tym łatwiej, że znajomi agencji NSA właśnie szykowali akcję, bo chcieli szantażować Johna Karzova, żeby nie bruździł im przy kontrakcie z Jeremym Curtisem. Na dobrą sprawę wystarczyło tylko wylądować w ogrodzie i powiedzieć jedno zdanie, a następnie obserwować wszystko z wygodnego miejsca w łoży. Liczyłem, że przypomnisz sobie, spodoba ci się i wrócisz na stare śmieci.

— Nie udało ci się — powiedział Vincent. — Ja już wybrałem dawno temu i nie odwiedzisz mnie od tego.

— No cóż — odparł Devilyn głosem człowieka pogodzonego z wszystkim. — Musiałem spróbować.

— Po co? — spytał Vincent. — Domyśliłem się, do czego zmierzasz i tak dalej, ale nie

rozumiem, po co. Źle ci?

— Lubilem tę opozycję Piekło-Niebo — odpowiedział. — Potem, w dwudziestym wieku zacząłeś się chować, by po II Wojnie Światowej zniknąć całkiem.

— To był dobry moment — odparł Vincent; a może już Lucyfer. — Ludzkość zwątpiła w dawne wartości — a przypominam, że spór do tamtej pory przebiegał wokół osi, o której wspomniałeś przed chwilą — więc postanowiłem zmienić polaryzację. Teraz jest bardziej według mojego zamysłu.

— Pilnowaliśmy ludzi, żeby nie robili głupot — powiedział Devilyn. — Nie rozumiesz tego? Teraz zmierzają ku zagładzie!

— Jak tylko się rodzisz, już zaczynasz umierać — powiedział Vincent. — Wychodzi z tego prosta rzecz: ludzkość i tak uległaby zagładzie. Nic nie trwa wiecznie. A sztuczne przedłużanie życia kończy się wypraniem go z tych naprawdę ważnych rzeczy. Z wielkich uniesień, wielkich upadków, błędzenia, przegrywania, wygrywania, szczęścia, radości, smutku. Zresztą to nieistotne, ponieważ odkąd Ciemność została uwieziona, moją rolę przejął ktoś inny, chociaż sam o tym nie wie. I nie będzie wiedział. A co lepsze, robi to bez nadprzyrodzonych mocy. Stare ideały, zasady, moce i układy odchodzą w niepamięć. Devilyn Mason, Munroe czy jak się tam nazywałeś jeszcze jako skrzydlaty żołnierz, zapomnij o tamtym świecie. Już go nie ma. Mój następcą chce kupić świat, a jego następcą będzie kontrolował przepływ informacji. Jestem przeszłością, ale przez twoje nieudolne kuszenie mogłem poznać terażniejszość i zobaczyć przyszłość. Terażniejszość ma w nosie szeroko pojętą moralność — chociaż równocześnie z ogólnym jej zanikaniem, powstają ostatnie bastiony, coś jak amiszowie — przyszłość z kolei nie będzie miała o tym wszystkim pojęcia. Jak chcesz wiedzieć, jakie będzie podejście do rzeczywistości, to przeczytaj sobie „Thinking in Java” Bruce’a Eckela. Istoty boskie przestają być programistami, stają się takimi samymi obiektami jak ich dotychczasowi wyznawcy. Od początku o to walczyłem i nie ukrywam, że cieszy mnie taki obrót spraw.

Devilyn słuchał w skupieniu i nie przerwał Lucyferowi, chociaż widać było, że emocje gotują się w nim. Kiedy jednak nachylił się przez biurko, żeby widocznie powiedzieć coś dosadniej, jego oblicze było już spokojne.

— Co miałeś na myśli, mówiąc, że poznałeś terażniejszość i widziałeś przyszłość? — spytał Devilyn.

— Poznałem tych przemiłych panów — odparł Lucyfer, na powrót przemieniając się w Vincenta. — I jeżeli mógłbym coś doradzić, to z nimi się układaj. Ale najpierw przyswój sobie cały szereg zmian, jak nastąpił.

— Jak się domyślasz, była to ostatnia próba przywrócenia starego porządku. Nie udało się, trudno. Liczyłem się z taką możliwością. Ale powiedz, nie kusilo cię ani trochę? — spytał,

próbując przeniknąć Vincenta swoim wzrokiem.

— Ani trochę — odparł ten.

Oczywiście kłamał. Cały czas, nawet w tej chwili, musiał walczyć z pokusą zostania razem z tą mocą. Ludzie lubią wierzyć, że to jakiś szatan siedzi na ramieniu i kusi. Oczywiście bzdura, ale łatwiej zwalić winę na jakiegoś mitycznego — a może i mistycznego — stwora niż własną słabość. Ludzie wybierają szeroko pojęte zło najczęściej z lenistwa. Poruszanie się skrótami wychodzi dobrze kotom, ludziom mniej. Vincent czuł napięcie każdym mięśniem. Po czole zaczęła mu spływać kropla potu, plecy miał mokre odkąd siadł przy biurku. Oj, tak, Devilyn — choć nie mógł się tego dowiedzieć — sprytnie to wszystko wymyślił. Największą sztuczką jest nie zmusić kogoś do zrobienia czegoś wbrew sobie, tylko wykorzystać jakiś jego talent. Lub słabość.

— No cóż, szkoda — stwierdził Devilyn. — Myślę, że nasze spotkanie dobiegło końca. Chyba, że chcesz coś dodać.

— Tak, chcę: nie próbuj więcej tych sztuczek. Zamierzam pozbyć się tego brzemienia — powiedział Vincent.

Źrenice Devilyna zwęziły się.

— Nie — powiedział z niedowierzaniem. — Chyba nie...

— Właśnie tak — urwał mu Vincent. — Myślałem, że wystarczy zamknąć Ciemność w skrzynce, a tę w piwnicy. Drugi raz nie mam zamiaru tego przechodzić. Przez ten czas miałem okazję przekonać się, że mogę ochronić swoją rodzinę bez pomocy Ciemności. Musiałem z niej skorzystać, bo była w moim posiadaniu. Gdybym nie miał jej w zasięgu ręki, to nic by się nie stało.

— Tak to sobie tłumacz — odparł Devilyn, opierając się wygodnie na oparciu. — Ale prawdą jest, że ja pojawiłem się później. Gdyby nie to, agenci NSA uprowadziliby Kevina Karzova, a Susan czekałby nie wiadomo jaki los.

Vincent poczuł ukłucie. Devilyn miał rację.

— Po prostu trzymaj się z dala i od mojej rodziny — powiedział Vincent, nie mając pomysłu na lepszą kropkę nad i.

Ruszył do wyjścia.

Do samochodu doszedł na miękkich nogach.

— No i co? — spytali John i Susan.

— Jedźmy — odparł Vincent. — Wezmę Susan na kolana.

VII.

Kiedy dotarli do mieszkania Friedy, nie padało już, a po burzy w powietrzu unosił się aromat ozonu. Tym razem John wziął żółwia ze sobą. Drzwi do mieszkania były niezamknięte, więc weszli bez pukania. W pokoju dziennym na kanapie siedział Harry z laptopem na kolanach. Na ich widok odłożył go na stolik obok.

— Jesteście — powiedział. Miał zmęczony głos. Była to jego wersja przywitania. Ani nie tchnęła nadmierną gościnnością, ani nie sugerowała antypatii.

— Gdzie Kevin? — spytał John.

Nie czekając na odpowiedź i stwierdzając również nieobecność Friedy, zajrzał za kuchenny kontuar, do łazienki, aż dotarł przed drzwi sypialni, gdzie jakieś dziesięć godzin wcześniej zamknął się ze swoją znajomą. Nacisnął klamkę i wparował do środka. Jego oczom ukazał się syn, który kończy ubierać się w ekspresowym tempie i naga Frida, przykryta od pasa w dół sfilcowanym kocem przyobleczonej podziurawioną poszewką. Obok łóżka stał nakastlik z lampką, z której zwisały przezroczyste koraliki w różnych kolorach. Naprzeciwko dużego drewnianego łóżka stało biurko zawalone papierami i dwoma wieżami jakichś książek. Wszystko wskazywało na to, że nie ma własnego komputera, ani nawet telewizora. Honoru broniło małe jednogłośnikowe radio ze sterzącą na baczność anteną teleskopową. Na ścianie nad łóżkiem wisiał w cienkiej ramie obraz przedstawiający fioletowego słonia z czterema rękami albo czterorękiego człowieka z głową słonia. Na parapecie stało kilka kwiatków, a z otwartej szafy wychynały ubrania, które jak na kobiecą garderobę były w zaskakująco małej ilości. Kevin ubrał się i odwrócił do ojca. Był zmieszany.

— Wyjdź! — zawołał John. — I zamknij drzwi. Z tamtej strony!

Kiedy zostali sami, John krzyknął do Friedy, która pomimo właśnie odbytego stosunku miała minę tak znudzoną, jakby przez cały dzień nic nie robiła.

— Co to ma znaczyć?!

— Chciałam się dać przelecieć synowi androida — odparła, wstając z łóżka. Uczucie wstydu zdawało się jej nie tykać, a kiedy odwróciła się tyłem, to sprawiało to wrażenie kokieterii, nie wstydu. Podniosła z podłogi męskie bokserki i naciągnęła na płastki tyłek. Bokserki były w miarę dopasowane. — Skoro jego ojciec nie był nigdy zainteresowany...

— Przecież właśnie to ci się we mnie podobało.

Frieda naciągnęła bluzkę na ramiączka, która jak wszystkie jej bluzki od zawsze miała jakiś japoński, chiński albo jeszcze inny piktogram.

— Ale z czasem zaczęło intrygować — odpowiedziała. — Chciałam cię uwieść właśnie dlatego, że nie mogłam cię mieć. Wiedziałam z twoich opowieści, że jesteś zdolny do erekcji, toteż sprawa nie była wcale pogrzebana. Ale nic nie wyszło. A Kevin... był taki podobny. Sama

nie wiem. Poza tym zdajesz sobie sprawę z tego, jak działałam na facetów. Schylałam się po coś, kiedy poczułam jego ręce na moich piersiach. A potem stał się wielki cud życia.

— Całe tłoczone mu przez lata katolickie wychowanie poszło w cholerę — zauważył John ze smutkiem, po czym rozjemczym tomem dodał: — I tak było do niczego.

Frieda naciągnęła na nogi dżinsy ze ściągaczami w kostkach i wskoczyła w jasnoniebieskie japonki. Cały czas miała swoje soczewki kontaktowe.

— No, widzisz — powiedziała. — A teraz wybacź, ale muszę pomówić z Vincentem.

— Vincentem? — zdziwił się John, ale Frieda nie raczyła odpowiedzieć.

Kiedy weszła do dużego pokoju zastała tam Harry'ego, Vincenta, Susan i Kevina, który siedział cały czerwony i z miną, która zdradzała, że bardzo chciałby się stąd wyrwać. Bardzo. Naprawdę bardzo. Susan z kolei bardzo starała się, żeby nie zauważać Kevina, widocznie zaczynało coś między nimi iskrzyć — czego zwieńczeniem miał być wyjazd na koncert Nine Inch Nails — a Frieda brutalnie wdepnęła w to swoim buciorem magnetyzmu. Udawała, że śledzi razem z ojcem jakieś wykresy giełdowe, które pokazuje mu Harry, bardziej szczegółowo opowiadając o teorii wydarzeń węzłowych. Świadczyło to o dużym zaufaniu, jakim go obdarzył.

— Vincent, mogę cię prosić na chwilę? — spytała. — Chcę z tobą pomówić.

Vincent wstał i poczesał tłuste włosy Harry'ego. Frieda z obrzydzeniem rozprostowała palce dłoni zupełnie, jakby to jej dłoń zanurzyła się w kołtunach jej współlokatora. Vincenta zdawało się to nie obejść ani trochę.

— W sypialni? — spytał. Krył swoje podniecenie, ale trzeba przyznać, że dość nieumiejętnie. A może umiejętnie, ale Frieda i tak swoje wiedziała, zbyt wielu takich gagatków widziała w swoim nienaturalnie długim żywocie.

— Nie, na dachu.

Po tych słowach Susan odetchnęła trochę z ulgą. Frieda miała nadzieję, że nie pozabijają się pod ich nieobecność. Tym bardziej, że drugi ojciec prowadził „konwersację” ze swoim przyjacielem w skorupie i byli zdani na siebie.

Frieda wzięła flyers, bo noc zrobiła się nieprzyjemna i wyszła z mieszkania. Vincent wyszedł za nią, nie biorąc płaszcza. Frieda doszła do okna, otworzyła je i wyszła na parapet, a następnie złapała się czegoś i podciągnęła.

— To chyba niebezpieczne? — spytał Vincent, ale Frieda nic nie odpowiedziała albo prychnęła, ale tego nie był pewien. Wychodząc za nią na parapet powiedział: — Ale co to dla nas?

Na dachu stały dwa krzesła z siedzeniem i oparciem obitymi sztuczną skórą. Były mokre, więc Vincent zaczął się zastanawiać, czy stoją tu na stałe, czy Frieda już wcześniej to przygotowała. Na dachu było kilka kałuż odbijających światło księżyca. Akurat była pełnia,

więc widok prezentował się wspaniale.

— O czym chciałaś powiedzieć? — spytał Vincent. Stał przy obramówce dachu, opierając na niej jedną nogę. Zrezygnował z siadania.

— Czy to przypadek, że wszyscy trzej wylądowaliście w moim mieszkaniu? — spytała lekko drżącym głosem.

— Nie — odpowiedział Vincent. — Ale chyba nie o to pytałaś. — Frieda popatrzyła na niego zaintrygowana. — Chciałaś wiedzieć, czy ktoś to zaaranżował. Odpowiedź brzmi: nikt tego nie aranżował. Słyszałaś przepowiednię?

— Tak, właśnie dlatego mieszkam z Harrym.

Tutaj Vincenta zaskoczyła. Myślał, że jednak bardziej przypadkowe to jest. A tymczasem sprawa przypominała coraz bardziej grecką tragedię, gdzie pod koniec „wszystko upada na swoje miejsce”. Przepowiednia opowiadała o trzech bestiach, była na dobrą sprawę wariacją na temat Objawienia św. Jana, co mogło być dowodem za (różne źródła tego samego) lub przeciw (przepisana bzdura w sobie znanym celu), w zależności od tego, kto podchodził do sprawy. Pierwsza bestia miała być staromodnym Księciem Ciemności — i to był Vincent — drugą był Gliniany Handlowiec i do tego idealnie wpisywał się John Karzov. Vincent nie od razu się tego domyślił, ale cały ten sprzęt w piwnicy, obrót sprzętem szpiegowskim i wiele przykrywek szybko dało mu do myślenia. Ale dopiero kiedy zobaczył Harry'ego, połączył fakty, bowiem trzecią bestią z przepowiedni miał być Władca Informacji. Wtedy wszystko zaczęło pasować.

— Chcesz mieć swój udział w przepowiedni? — spytał Vincent, uśmiechając się. — Nie spodziewałbym się, jesteś dość krytyczna, jeśli chodzi o...

— Chciałam doprowadzić do jej niespełnienia — odparła, przerywając mu. — Już dawno temu rozpracowałam przepowiednię. Znałam Johna dostatecznie długo i widziałam dość w swoim życiu, żeby wychwytywać pewne rzeczy. Poza tym, już poza konkursem, jestem kobietą.

— No tak, oczywiście. — Vincent uśmiechnął się. Odwrócił się i spojrzał jej w oczy. Pomimo iż twarz była w cieniu wielkiego zbiornika na wodę na dachu, to oczki świeciły odbitym blaskiem miasta nocą. — Ale Frieda, przeceniasz się. Jeżeli coś już jest przepowiednią, to nie ma szans, żeby się nie spełniło. A ta, niestety, jest przepowiednią. A to oznacza, że nawet gdybyś chciała jej zaszkodzić, to tylko pomożesz. Dobrym porównaniem jest kaftan bezpieczeństwa: im bardziej się szarpiesz, tym bardziej się zaciska. Jeżeli się nie ruszasz, to i tak się z niego nie wyswobodzisz.

— Już prawie mi się udało — powiedziała Frieda, na równi próbując przekonać Vincenta, co uspokoić siebie.

— „Prawie” robi wielką różnicę — odparł Vincent. — Jak to chciałaś zrobić?

— To może w ogóle opowiem ci o Harrym? — spytała zaczepnie.

— Dawaj, moja wyprawa może poczekać — odparł Vincent.

— Harry'ego poznałam przypadkiem w jakiejś mordowni, gdzie przyszedł się upić do nieprzytomności. Wtedy dopiero pracował nad tą swoją teorią wydarzeń węzłowych. Przewidział pewne wydarzenie, które dla wszystkich było zaskoczeniem. Zaintrygował mnie. Znałam już wtedy przepowiednię i obstawiałam, że John jest drugi, ciebie znałam tylko z opowiadań, przybyłam do tego świata za późno, żebyśmy się spotkali. Bez trudu uwiodłam Harry'ego i szybko staliśmy się parą. Wkręciłam go w heroinę, jestem praktycznie nieśmiertelna, więc mnie to nie zaszkodziło, nawet nie odbiło się to na moim wyglądzie. Ostatnio coś w tych swoich wydarzeniach zobaczył i przestał brać, ale na moje oko — widywałam już mniej zjechanych — Harry'emu wiele czasu nie zostało. Jedno niepowodzenie i wróci do heroiny.

Vincent zaśmiał się.

— Przebiegła jesteś, nie powiem. Pewnie ty nie przestałaś „brać”?

— Nie, ale na razie niewiele go to sprowadza na złą drogę, nawet przestał ze mną sypiać, nocuje na kanapie w otoczeniu komputera i telewizora.

— Widzisz, jak mówiłem: przepowiednia się spełni tak czy siak. Ładnie ci szło, ale przed chwilą... Zapewne widziałaś, zmierzwiłem Harry'emu włosy?

Friedę zamurowało.

— Nie mów, że... — zawiesiła głos w oczekiwaniu na zaprzeczenie ze strony swojego interlokutora, lecz nic takiego nie nastąpiło.

— Uleczyłem go — powiedział zamiast tego. — Pomyślałem, że musi być zachowana ciągłość władców świata. Mówię ci to teraz, żebyś nie myślała, że zrobiłem to na złość.

Frieda stała chwilę osłupiała, potem zawiął zimny wiatr, wyrwijąc ją z zamyślenia. Jeszcze nie wiedziała na kogo, ale zaczynała odczuwać wściekłość. Na Vincenta, Harry'ego, siebie, sytuację, nawet na Johna. Wkurzona, bo przepowiednia kończyła się wielkim bum, a ona — pomimo iż spotkała się z paskudnym zachowaniem naprawdę wielu ludzi — naprawdę chciała ich uratować. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że jest głupia, ale wszystkiemu winny był brak pamięci emocjonalnej.

Vincent podszedł do niej, chwycił dłoń i zbliżył do ust, a następnie pocałował. Frieda westchnęła i wywróciła oczami.

— Tylko nie to... — jęknęła pod nosem.

— Powiedz tylko słowo jednak, Friedo, a własnoręcznie zabiję Harry'ego. Tylko daj mi choć jeden dzień z tobą, pozwól cieszyć się...

Mocny policzek, którego odgłos musiał się odbić echem z trzy przecznice dalej, przerwał mu.

— Vincent, wybaczam ci, bo wiem, że dawno nie miałeś kontaktu ze swoją mocą. Dwadzieścia lat życia rodzinnego nawet z szatana potrafią zrobić mięczaka — powiedziała Frieda. A widząc, że Vincent patrzy na nią bez wściekłości, tylko raczej z zagubieniem, postanowiła mówić dalej: — Jestem stara, nawet bardzo stara. To, że czasem zachowuję się jako nastolatka, jest efektem mojego drobnego defektu związanego z emocjami. Z jednej strony błogosławieństwo, z drugiej przekleństwo. Spoko, nauczyłam się z tym żyć. Ale, Vincent, zrozum! Słyszałam takich propozycji tak wiele, że nie robią na mnie wrażenia. Bardzo chętnie bym przystała na twoją propozycję, ale sam przed chwilą mówiłeś, że przed spełnieniem przepowiedni nie uciekniemy. Choćbyś go zabił, to wstanie z martwych lub stanie się coś równie nieprawdopodobnego. Myślałam, że nie, chciałam, żeby tak było, ale to, co zrobiłeś, otworzyło mi oczy. To było jak ustawianie domku z kart na szczycie wzgórza: może się trzymać bardzo długo, ale wystarczy lekki powiew i wszystko idzie w diabły. Poza tym, jak będę chciała zabić Harry'ego, to sama to zrobię. Nie wiem, polecę z nim do Chin i zastrzelę go na prowincji, żeby nie mógł się z nikim dogadać w przypadku przeżycia albo coś w tym stylu. Ale to nie wszystko; to, co zrobiłam Kevinowi i Susan, uświadomiło mi pewną rzecz. Że rodzina to rzecz święta i nie mam prawa w nią ingerować. Jeżeli mogę ci coś doradzić i zasugerować, to to, żebyś wziął Susan i pojechał do domu, do żony i drugiej córki. Jeżeli mówisz, że jesteś gotów zrobić dla mnie wszystko, to zrób właśnie to.

Kiedy skończyła, Vincent spuścił zrezygnowany głowę. Na kimś innym ta przemowa nie zrobiłaby tak wielkiego wrażenia, ale w przypadku Vincenta udało się Friedzie dotknąć tych strun, których on starał się unikać. One tam były i wystarczyło lekko puknąć je młoteczką, żeby wydały donośny dźwięk. W chwili obecnej dźwięk ów rozbrzmiewał Vincentowi w głowie.

Spojrzał na nią.

— Tak, masz rację. Cały ten splot już i tak przypominał grecką tragedię. Nie mogło zabraknąć i tego. Kocham moją żonę i pewnie nie wybaczyłbym sobie, gdyby stało się coś nieodwracalnego. — Odwrócił się i zaczął schodzić po schodkach. Kiedy jego głowa była jeszcze widoczna, powiedział: — Dziękuję.

Potem zniknął jej z oczu.

Frieda patrzyła jeszcze chwilę na niebo i panoramę miasta, tak naprawdę nie patrząc na nie i rozmyślała o tym wszystkim. Wiązała się już z różnymi gośćmi, ale jeszcze nie z samym Księciem Ciemności. Najwyżej, w co mierzyła, to pewien archanioł, i to trzykrotnie: rozstawali się i schodzili, jak w kiepskim romansie. Ale tak naprawdę nie miała do czynienia z Księciem Ciemności, tylko statecznym ojcem rodziny, który w celu ratowania swojej córki postanowił zaryzykować, i to wiele. Nie powinna tego wykorzystywać. Podobnie, jak nie powinna ulegać Kevinowi, co było zupełnie bezmyślnym działaniem, ale zrozumiała to dopiero, kiedy ujrzał

reakcję Susan na zaistniałą sytuację. Zapominanie — jej osobisty błąd w osobistym rachunku macierzowym — działało bardzo dobrze, bo kiedy weszła na klatkę przez okno, czuła się już znacznie lepiej. Kiedy wchodziła do mieszkania, John w pośpiechu zbiegał na dół klatką schodową. Vincenta nie było w mieszkaniu, ale poprosiła na korytarz Susan.

— Czego pani chciała? — spytała Susan, nie kryjąc bynajmniej urazy.

— Chodzi o Kevina...

— Nie chcę słuchać o tym kretynie! — wybuchnęła.

— To moja wina — powiedziała Frieda.

— Że jest kretynem? — spytała Susan. Chciała sprawiać wrażenie spokojnej i opanowanej, ale wprawne oko Friedy wychwytywało cały wulkan emocji pod powierzchnią.

Plwając na tę twardą skorupę, postanowiła zstąpić do głębi.

— To moja wina, co się stało tam, w sypialni — kontynuowała nie zrażona zachowaniem Susan. — Harry od jakiegoś czasu jest względem mnie obojętny, siedzi tylko w tych swoich komputerach. Kiedy więc pojawił się Kevin, który łudzaco przypominał swojego ojca z czasów szkolnych. Podkochiwałam się w nim, a on był niewzruszony. Nie ma dla mnie usprawiedliwienia.

Frieda dawno już tak dobrze nie skłamała.

— Może, ale on nie jest bez winy — powiedziała Susan.

I Frieda przyznawała jej rację. W duchu.

— Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło — powiedziała, chcąc zaintrygować Susan.

— Co ma pani na myśli?

Rybka chwyciła haczyk.

— Jeżeli coś do ciebie czuje, to będzie miał poczucie winy, będzie się bardziej starał. Na wszystkich polach.

Postanowiła nie informować Susan o fackie, że jej chłopak miał przedwczesny wytrysk, jak to chłopcy miewają w początkach. Pomimo ojca-szatana, dziewczyna była wrażliwa. Poza tym ostatnie zdanie zawierało w sobie również tę kwestię. Czasami niedomówienia są lepsze.

Susan obróciła się i wróciła do mieszkania.

W międzyczasie John raz dwa był na dole i udało mu się dopaść Vincenta, który próbował złapać taksówkę, która była nieosiągalna w tej okolicy.

— Podwieźć cię? — spytał John.

— To jest coś, co muszę sam załatwić — odparł Vincent.

— To pożyczę ci DeLoreana — powiedział jego ulubiony sąsiad ostatnimi czasy, wyciągając kluczyki z przedniej kieszeni spodni. — Ale chciałem o coś jeszcze zapytać odnośnie

tego wszystkiego, co mi w porcie opowiadałeś.

John trzymał klucze tak, że wisiały pod dłonią niczym jakaś kiść do zerwania. Vincent złapał je, ale John nie puszczał.

— Dawaj — powiedział Vincent.

Klucze wylądowały na jego otwartej dłoni.

— Co z Piekłem? — spytał John.

— Co masz na myśli?

— Gdzie jest? Czy to jest jakieś miejsce pod ziemią czy inny wymiar?

— Nie ma czegoś takiego, jak Piekło, do którego grzesznicy idą po śmierci. Piekło to sobie ludzie sami potrafią zgotować. Pojedź na wojnę albo znajdź rodzinę z ojcem pijakiem-sadystą. Tam jest prawdziwe Piekło. Żadne inne nie istnieje. Żadne inne nie jest w stanie przebić tego, co ludzie sami sobie potrafią stworzyć.

Wsiadł do samochodu i odjechał.

VIII.

Matthew wyszedł na chwilę na korytarz. Nie mógł na to patrzeć. Nie mógł patrzeć, jak ukochana osoba odchodzi w okropnym bólu. Przytłaczało go to. Wiedział, że jego przeżycia są niczym w porównaniu do tego, co przeżywała właśnie jego ciocia, która była mu kiedyś matką, podczas gdy jego matka pracowała na trzy etaty, żeby związać koniec z końcem. A teraz ciotka Eleanor odchodziła. Spędzał przy niej każdą wolną chwilę, widząc, jak rak ją powoli trawi. Z początku jakoś się trzymał, ale wraz z rozwojem choroby było coraz gorzej. Ostatnimi czasy coraz częściej wychodził na korytarz, żeby „odetchnąć”. Aż zaczynał się z tego powodu czuć winny. A nader wszystko obawiał się, że ciocia to zauważy i zrobi jej się przykro. Tak długotrwała choroba, jak rak, karykaturalnie wykrzywiała nie tylko rysy twarzy, ale i charakter. Złe cechy stawały się gorsze, dobre zanikały. Nie można było mieć do niej o to pretensje i Matthew nie miał, ale nie zmieniało to faktu, że było mu ciężko.

— Czy mogę w czymś pomóc? — dobiegło go nagle.

Podniósł głowę i ujrzał dość osobliwego osobnika. Miał na głowie biały turban i na wierzch ubrania narzuconą miał białą pelerynę. Ubrany był na granatowo — w koszulkę bez rękawów, odsłaniającą chude, choć umięśnione ręce, wpuszczoną w spodnie zwięzające się do długości tuż nad kostką oraz śmieszne buty z zadartymi, że aż zawijającymi się niczym elementy scenografii w filmach animowanych Tima Burtona noskami. Jego skóra była ciemna, ale ciężko było zgadnąć, czy to długotrwały efekt przebywania na słońcu czy po prostu takim

się urodził. Zarówno twarz, jak i ręce nosiły znamiona wielu doświadczeń — zarówno blizny i ogólne zniszczenie zdradzające dosłowne doświadczenia, jak i spojrzenie, które sugerowało, iż mężczyzna z niejednego pieca chleb jadł. Matt musiał być bardzo zaskoczony tym nietypowym widokiem, ponieważ przez chwilę nie mówił.

— Po ścieżkach zaschniętych na twych policzkach łez wnoszę, iż nie jesteś wolny od bólu — powiedział głosem, który brzmiał, jakby mówił w jakiejś studni.

— Słucham? — spytał Matt. — Czy jest pan takim gościem, co rozbawia dzieci na oddziałach dziecięcych?

Mężczyzna usiadł obok niego.

— Nie myl mnie z pierwszym lepszym kuglarzem. Jestem The Painkiller i uśmierzam ból — odpowiedział. Brzmiał śmiertelnie poważnie.

— Nie mam czasu ani ochoty na wygłupy — powiedział trochę odrętwiały Matt. — Moja...

— Pomyśl o sobie przez chwilę — odparł Painkiller. — To twój ból, nie twojej ciotki.

— A-ale...

Mężczyzna wstał i wyciągnął do niego rękę, mówiąc:

— Chodź, pokażę ci.

— Dlaczego? — spytał, nie ruszając się z miejsca.

Painkiller z powrotem usiadł.

— Dlaczego co?

— Dlaczego jest tyle bólu na świecie? — spytał Matt. — Nie widzę sensu tego, nie widzę, żeby cierpienie uszlachetniało kogokolwiek. Kiedy patrzę na powyginane grymasami bólu i zmęczenia twarze, to nie wydaje mi się, żeby to miało jakoś doświadczać ku lepszemu i tak dalej...

— Bo tak nie jest — odparł Painkiller. — Ból ma czysto fizyczne podłoże. Ostrzega przed niebezpieczeństwem. Wielki przyjaciel strachu, tylko że pojawia się w znacznie bardziej krytycznych momentach. Inni mówią, że to skutek uboczny zbyt rozwiniętego układu nerwowego. Jeszcze inni, że nadwrażliwości. Ból nie uszlachetnia, ból boli. Brzmi banalnie, ale to prawda. Ponieważ nie zatraciliśmy w procesie ewolucji odczuwania bólu, ludzie muszą sobie radzić inaczej. Stosownie do rodzaju bólu, uciekają się do różnych środków...

— Uciekają? — zdziwił się Matt. Oni?

Painkiller zignorował jego pytanie.

— ...jedni się faszują wszelakiej maści używkami, inni uciekają w hedonizm, ale nie wszyscy są tak destrukcyjni: są ludzie, którym wystarcza bliskość ukochanej osoby, jak się ich przytuli, porozmawia z nimi.

Matt patrzył na Painkillera.

— Jesteś wariatem? — spytał.

Painkiller uśmiechnął się. Jego mina mówiła, że przechodził to już wiele razy.

— Jeżeli chcesz uwierzyć, musisz wyrazić życzenie, by twój ból minął, a ja to zrobię. I wtedy się przekonasz.

— Ujmij ból mojej ciotce — powiedział Matt — a ujmiesz go mnie.

Painkiller uśmiechnął się ponownie. Jego mina zdradzała to samo, co przed chwilą.

— Nie ma tak prosto. Moje działanie sprowadza się do usunięcia bólu, nie jego przyczyn. A twoja ciotka nie jest w stanie podjąć tej decyzji.

— Jak to?

— Zbyt długo zwlekała i teraz ból odbiera jej świadomość.

— To okrutne — zauważył Matt, coraz bardziej dostrzegając bezsens tej rozmowy. Postanowił to uciąć: — Dobra, uśmierź mój ból. Pokaż, co potrafisz.

Painkiller wstał i kopnął Matta w kolano. Ten krzyknął i upadł. O dziwo, ludzie, którzy byli na korytarzu niczego nie dostrzegli. I wcale nie sprawiali wrażenia, jakby udawali, że niczego nie dostrzegali. Ludzie w takich sytuacjach przyspieszają kroku i odwracają wzrok. Ci nie sprawiali takiego wrażenia.

— Au... — jęknął Matt.

Painkiller położył dłoń na kolanie Matta i coś wyszeptał. Kiedy podniósł wzrok, Mattowi wydawało się, że jego oczy błyszczą na różowo. Ale ból minął. Całkowicie. Matt mógł ruszać normalnie nogą i dotykać jej, i nie czuł bólu. Dotykał swoją nogę raz po raz, zginał i prostował, nawet lekko uderzał w stół. I nic.

— Niesamowite. — Wstał. — Ale to i tak okrutne.

— Nauczyłem się tego od starego znajomego — powiedział Painkiller, uśmiechając się.

Nagle przestał się uśmiechać, ponieważ dostrzegł coś lub kogoś za Mattem. Ten odwrócił się i ujrzał bladego — czy wręcz białego — mężczyznę z czarnymi włosami i ubranego na czarno. W zasadzie Matt był wciśnięty między nich.

— Witaj — powiedział mężczyzna.

— O wilku mowa — odparł Painkiller.

— Wrócę do ciotki — powiedział Matt, po czym uciekł się w pokój.

— Lucyfer — powiedział Painkiller. — Wróciłeś. Wyczuwałem cię, ale nie sądziłem, że zaszczycisz mnie swoją obecnością.

— Wróciłem na jedną czwartą mgnienia — odpowiedział Vincent. — Możemy pomówić w cztery oczy? — spytał, spoglądając na jakąś staruszkę, która przy pomocy balkoniku przemieszczała się przez korytarz. Kiedy spojrzeli sobie nawzajem w oczy, posłała mu

mordercze spojrzenie.

Painkiller zdawał się być niedostrzegany przez nikogo, traktowali go jak powietrze lub — to było najbliższe skojarzenie — tak, jak arystokracja traktowała kogoś pokroju kamerdynera.

— Dobrze — odparł Painkiller.

Zaprowadził go do windy, a kiedy wsiedli, wyjął z kieszeni klucz i wsadził w otwór w tablicy z przyciskami, a następnie przekreślił i wcisnął najniższe piętro. Vincent zaśmiał się w duchu, ponieważ zdał sobie sprawę z tego, co właśnie ma miejsce — Światłość i Ciemność jada jedną windą. Jing-jang bez kropek na 4 metrach kwadratowych. Gdyby byli śmiertelni, to jakiś bóg-uzurpator mógłby ich łatwo usunąć i przejąć kontrolę nad rzeczywistością. Na szczęście tak nie było, więc żaden zamach im nie groził.

— Dlaczego szpital? — spytał Vincent.

— Proste rozwiązania są dobre: tu jest dużo bólu — odpowiedział Painkiller.

— Czy w tym jest go jakoś więcej? — nie odpuszczał Vincent.

Painkiller spojrzał na niego badawczo.

— Nie — odpowiedział, starając się wejrzeć w głąb Vincenta. — Ani grama więcej, ale też nie mniej. Drogi Lucyferze, mam świadomość, że nie uzdrowię bólu całego świata, ale ja nie mam poczucia misji. Kiedy bóg przegrał, ktoś musiał przejąć Światłość, żeby nie wpadła w niepowołane ręce. — Winda zatrzymała się i wyszli w ciemny korytarz, gdzie nikogo nie było. Na szczęście obaj widzieli w mroku. — Podjąłem się tego, ale jestem bardziej dysponentem Światłości niż jej władcą. Używam znikomy procent promila mocy, jakiej mógłbym użyć. Zgodziłeś się na moją kandydaturę, ponieważ obaj mieliśmy i mam nadzieję, że mamy, takie samo podejście: czyli że ludzie powinni sobie radzić sami. Moja działalność ma bardziej charakter badawczy. Sprawdzam ludzi, obserwuję, jakie podejmują decyzję i co z tego potem wynika.

— Yhm — mruknął tylko Vincent.

Weszli do pomieszczenia z piecem krematoryjnym i szafkami-chłodniami na zwłoki w ścianach. Na środku stał stół prosektoryjny. Vincent zagwizdał.

— To twoje biuro? — spytał.

— Jeżeli przyszedłeś drzwi, to... — zaczął Painkiller, z wyczuwalnym w głosie napięciem. Czyżby obawiał, że Vincent chce wrócić do starego układu?

— Nie, nie, nic z tych rzeczy — przerwał mu. — Chciałem zagaić rozmowę.

— Niepotrzebnie. Możesz od razu przejść do rzeczy.

Vincent usiadł na stole.

Zaśmiał się.

Podrapał za głową.

I znowu zaśmiał.

— Wydawało mi się to takie proste, ale kiedy przychodzi co do czego, to mam tremę, jak jakiś uczeń — powiedział Vincent.

Painkiller spojrzał najpierw przez przymknięte oczy na Vincenta, po czym otworzył je i w momencie wypogodniał.

— Czy przychodzisz do mnie z prośbą podobną do ostatniej? — spytał.

— Tak — wydusił z siebie Vincent, rad że Painkiller wychodzi mu w pół drogi.

— Dlaczego wróciłeś i dlaczego na tak krótko? — spytał Painkiller.

— Sprawy rodzinne — odparł Vincent.

— I do tego ci była potrzebna skrzynka? — zdziwił się Painkiller.

Przez cały czas stał z rękoma skrzyżowanymi na wysokości klatki piersiowej i zachowywał sporo rezerwy, co było dziwne, bo poza okresem, kiedy Światłość należała do boga, nie stali po przeciwnych stronach barykady. A nawet i wtedy miało to raczej charakter formalny. Nikt tak jak Painkiller lepiej nie rozumiał tego, o co Vincent — a w zasadzie Lucyfer — walczył: wolność dla każdego i na zawsze. Dlatego kiedy po wielkiej przegranej Armii Boga, Lucyfer dzielił tort zwycięzcy, spory kawałek dał właśnie jemu.

— Do mojego ogródka wczoraj rano... no, już będzie przedwczoraj wpadł nie kto inny, jak Devilyn Mason znany także jako Devilyn Munroe i zasugerował szukanie córki. Ruszyłem na poszukiwania i okazało się, że moja córka zniknęła, nie było żadnych tropów, byliśmy z ojcem jej kolegi bezradni. Dzięki Ciemności udało się sprawę rozwiązać raz dwa. Cały czas jednak miałem świadomość, że to na chwilę. Było ciężko, bo Devilyn był sprytny zmuszając mnie — skapcaniałego po 20 latach „normalnego” życia — do wzięcia tego ciężaru na osłabione barki. Prawie się złapałem, ale na szczęście rodzina to mocna kotwica.

Painkiller rozplótł ręce. Masował się prawą dłonią po brodzie.

— Devilyn... Devilyn... wiem, który to.

— Ty jesteś kimś w rodzaju kuratora nad była Armią Boga? — spytał Vincent.

— Tak. Jeżeli chciałeś prosić o to, bym trzymał Devylina z dala od ciebie i twojej rodziny, to już nie musisz. Masz to załatwione — powiedział Painkiller.

— Doskonale — odparł Vincent. — Ponieważ tym razem nie będziemy umieszczać Ciemności w tamtej skrzynce.

— A w czym? — zdziwił się Painkiller.

Vincent wzruszył ramionami, a dłońmi wskazał powietrze dookoła.

— W eterze — odpowiedział.

Painkiller przekrzywił z zaintrygowaniem głową, podnosząc jednocześnie pytająco brew.

— He? Chcesz uwolnić Ciemność?

— Tak — odpowiedział Vincent. — Początkowo chciałem cię namówić również na uwolnienie Światłości, żeby w ten sposób zrelatywizować rzeczywistość do reszty, ale chyba nie będzie to potrzebne, ponieważ mało kto się pcha po Światłość: nie pozwala niszczyć, więcej wymaga niż daje...

— To fakt, nikt się nie fatygował do tej pory — zauważył Painkiller. — Nie boisz się, że to zepsuje ludzi?

— To jak kropla trucizny w morzu: po rozcieńczeniu będzie nieodczuwalne. A niestety, nie ma nikogo takiego, komu można by przekazać to brzemię.

Painkiller spojrział na ścianę. Na ogół w takich sytuacjach wygląda się przez okno, ale nie było w tym pomieszczeniu żadnego, więc pozostała mu ściana z komorami na ciała. Nie przeszkodziło mu to w zadumaniu się.

— Zrobię to — powiedział, jakby oznajmiał choremu nieuleczalną chorobę.

Otworzył piec i obaj stanęli do niego bokiem. Painkiller odrzucił pelerynę do tyłu, odsłaniając wyrzeźbione z hebanu ramiona. Ujął w dłonie głowę Vincenta. W mig głowę Vincenta otoczyła różowa mgła, która momentalnie rozpierzchnęła się, jakby gnana powiewem powietrza, odsłaniając różowe światło bijące z wnętrza dłoni Painkillera. Zarówno on, jak i Vincent musieli zaprzeć się nogami, żeby nie polecieć do tyłu. Po chwili Painkiller zaczął wznosić ręce do góry, wyciągając Ciemność z Vincenta. Ciemność naturalnie nie poddawała się, z początku mocno oblepiając ciało swojego nosiciela, potem, kiedy była już nad głową, wysyłała wici rozpaczliwie chwytające się Vincenta, wici, których było coraz więcej, ale robiły się coraz cieńsze, aż w końcu jedna po drugiej poprzerywały się. Painkillerowi udało się wyekstrahować Ciemność, która wyglądała niczym czarna oleista ciecz w stanie nieważkości. Nie walczyła już, tylko swobodnie unosiła się w powietrzu, otoczona różową poświatą. Painkiller napiął mięśnie i cisnął przy użyciu siły woli — i cały czas z rękami wyciągniętymi przed siebie — glutowatą papkę do pieca krematoryjnego i uderzył w nią strumieniem energii. Na jego twarzy pojawiła się naprawdę duża zaciętość. Trwało to zaledwie chwilę, ale Vincentowi wydawało się, że była to cała wieczność. Będąc jeszcze chwilę wcześniej w symbiozie z Ciemnością, „słyszał” ją, czuł, jak „krzyczy”, jak błaga o pomoc, o ratunek, jak wije się z bólu, rozrywana przez Painkillera na najdrobniejsze atomy. Jednakże, wraz z rozdrabnianiem, krzyk rozpaczony robił się coraz słabszy i słabszy, aż w końcu ucichł, odbijając się tylko pogłosem w duszy Vincenta. Zaraz po rozproszeniu się Ciemności po świecie poczuł się, jakby ktoś mu wyrwał jego serce, czuł się tak pusty, jak wydrążone próchnicą drzewo wewnątrz którego hula wiatr z drobnymi zwierzętami. Upadł i przez chwilę miał trudności z oddychaniem.

Po chwili — chwili, której długości nie byłby w stanie określić, gdyby chciał — Painkiller podał mu dłoń.

— Wstawaj — powiedział życzliwie. — Za chwilę powinieneś dojść do siebie.

Vincent chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie, tak samo jak wstać. Ledwo udało mu się złapać Painkillera za rękę. Na szczęście ten chwycił go w pasie i doprowadził do windy, gdzie wyjechali na to samo piętro, co poprzednio. Chłopak, z którym rozmawiał Painkiller, znowu siedział na korytarzu. Na ich widok chciał coś zrobić, ale wszystko wskazywało na to, że coś go paraliżuje. Vincent, który po pierwsze: wiedział, o czym Painkiller mógłby tutaj rozmawiać, po drugie: znał profil jego działań, i po trzecie: poczucie humoru wracało mu pierwsze, postanowił z tego skorzystać i powiedział do zastygłego w bezruchu chłopaka, który najchętniej stałby się teraz niewidzialny:

— On naprawdę potrafi zdziałać cuda.

Liczył, że chłopak nie zwrócił specjalnej uwagi na jasność jego skóry wcześniej, a nawet jeśli, to i tak nie popsuje to ogólnego efektu. Niestety, Painkiller nie docenił dowcipu, ponieważ można powiedzieć, że w zasadzie rzucił nim o podłogę.

— Taki PR-owiec, a psuje mi opinię — powiedział.

— Tylko dojdę do siebie i idę sobie — odrzekł Vincent. — Daj mi chwilę.

Painkiller jednakże zdawał się go już nie dostrzegać. Schował ręce pod peleryną, po czym skrzyżował je na klatce piersiowej. Kątem oka uciekł w stronę chłopaczka.

— Więc na czym skończyliśmy, Matthew...?

IX.

Niestety, DeLorean nie nadawał się do przewiezienia 4 osób, toteż razem z córką postanowił jechać pociągiem, podczas gdy John i Kevin mieli jechać samochodem. Całkiem uczciwe rozwiązanie. A przede wszystkim wygodne dla wszystkich.

— Więc to koniec? — spytała Frieda, kiedy siedzieli u niej w sypialni. — Nie będzie więcej żadnej Ciemności?

O dziwo, nie czuł do niej w ogóle pociągu

— Tak — odpowiedział Vincent.

— To ciekawe, bo kolory ci wracają — zauważyła.

Spojrzał na swoje różowiące się ręce.

— Rzeczywiście — odparł. — Co z Harrym?

Wzruszyła ramionami.

— A co ma być? Zdrowieje w oczach, chociaż po twarzy tego nie widać, jest jeszcze bardziej zrypany niż twoje moce. Ale poprawa jest niezaprzeczalna. — Z trudem maskowała w

głosie wściekłość. — Pieprzona przepowiednia.

Vincent odetchnął.

— Na szczęście, mnie to już nie dotyczy. Jestem zwykłym człowiekiem.

Frieda spojrzała na niego ze sceptycyzmem w oczach. Musiał przyznać, że gdzieś na dnie duszy zabłysnął lęk, że los potraktuje to jako wyzwanie i za jakiś czas znowu zrzuci mu Devilyna Masona albo kogoś takiego do jego ogródka. Cóż, pozostawało się modlić, żeby tak się jednak nie stało.

W tym momencie zadzwonił jego telefon. Vincent spojrzał na wyświetlacz przed odebraniem.

— John? — spytał ni to siebie, ni to Friedy. Odebrał. — Halo?

— Hej, zapomnieliśmy Lectera — powiedział John.

— I co, mam go wziąć do walizki? — spytał zdziwiony Vincent.

— Nie, skąd. Stoimy samochodem na dole. Znieś mi go.

— Gdzie go zostawiłeś?

— W łazience.

Vincent poszedł do łazienki i otworzył drzwi. Było ciemno, więc prawą ręką zaczął szukać włącznika światła. Niestety, ściana była lewa. Nagle ktoś powiedział:

— Po lewej.

Był to ten sam zapijaczony głos, jakim John mówił za swojego żółwia. Vincent pomyślał od razu, że John tak naprawdę schował się w łazience i wkręca go. Zapalił światło, ale w pomieszczeniu był tylko Lecter w brodziku. Vincent zaczął szukać jakiegoś głośnika, ale nic nie znalazł. Spojrzał jeszcze raz na żółwia, ten spojrzał na niego.

— Dobra, nie chcę tego analizować — powiedział.

Złapał szybko Lectera, trochę obawiając się, że go ugryzie, ale ten był nadal spokojny. Rzecz absolutnie niespotykana u żółwi jaszczurowatych. Kiedy zszedł na dół, John czekał oparty o samochód.

— Dzięki — powiedział, po czym nachylił się i dodał szeptem: — Chcesz, żebym trzymał Devilyna z dala od ciebie na przyszłość?

Vincent zdziwił się, słysząc to.

— Tak — odparł. — Chociaż myślę, że nie będę go interesował więcej.

— Nie zapomnij swojego kuferka — powiedział John, otwierając bagażnik.

— Nie będzie mi już potrzebny — odpowiedział Vincent. — Nie ma już Ciemności, wypuściliśmy ją w eter, nieskończenie rozcieńczając.

— Mam nadzieję, że to rozsądne — powiedział John. Chyba silił się na troskę o świat.

— Nieodczuwalne — odparł Vincent.

— I nie bój się, twój sekret jest bezpieczny — rzucił John, wsiadając do samochodu. — Żegnaj!

— Do... widzenia — powiedział Vincent do odjeżdżającego DeLoreana.

Ponieważ pociąg mieli niedługo później, szybko pożegnali się z Friedą — aczkolwiek pożegnanie Friedy i Susan było wyjątkowo lodowate — oraz plecami Harry'ego, który palił papierosa na balkonie rozmyślając zapewne o planie podboju świata, jako, że był do tego predestynowany, choć o tym jeszcze nie wiedział, a następnie wsiedli w taksówkę i pognali na dworzec.

Vincent był zmęczony. Był teraz znacznie bliżej człowieczeństwa niż do tej pory. Fizyczna bliskość Ciemności jednak dużo dawała. Oczy go piekły, był senny. Coś nowego. Będzie musiał się nauczyć z tym żyć. Zostawił Susan z bagażami i poszedł przemyć twarz zimną wodą. Czuł, że traci kontakt z rzeczywistością, dźwięki były głośne i na dodatek wszystkie miały ten sam poziom głośności. Chwiejnym krokiem dotarł do toalety i oparł się o blat umywalkowy. Odkręcił wodę i chlusnął sobie zimną wodą w twarz. Od razu zrobiło mu się lepiej. Najpierw usłyszał otwierające się drzwi kabiny za nim, następnie ujrzał Devilyna Masona, który wyłania się z przyciemnionej kabiny (żarówka nad nią nie świeciła). Miał na sobie ten sam srebrny garnitur ze srebrną koszulą i błyszczącym, bordowym krawatem.

— Ty głupcze! — zawołał, dopadając Vincenta i łapiąc za kłapy płaszcza. — Co żeś uczynił?! Uwolniłeś Ciemność! Nie ma jej, nie ma! Nie ma mojej walki! Nie ma powrotu do starego układu!

— Nie ma — zgodził się Vincent, wrywając się Devilynowi. Niestety, zauważył, że przyszło mu to z trudem. — I nie będzie. Trzeba było...

— O nie, pożałujesz tego! — zawołał Devilyn. — Zaraz poderżnę twojej córce gardło! — Vincentowi przebiegły ciarki po plecach. — Ty... — nagle zawiesił głos i z przerażeniem spoglądał za Vincenta.

Ten zaryzykował i obrócił się. Pod ścianą, tuż obok suszarki do rąk stał Painkiller. Z lewą stopą opartą na ścianie i założonymi rękami, jak Indianin. Była to chyba jego popisowa poza. Kiedy był już pewien, że ma całkowitą uwagę w pomieszczeniu, delikatnie odbił się od ściany i ruszył w kierunku Vincenta i Devilyna. Ten ostatni nie czekał na nic, tylko rzucił się do drzwi.

— Donosiciel! — zawołał, ale w tym momencie coś szarpnęło go do tyłu.

Painkiller stał i zaciśniętą dłonią trzymał niewidzialną smycz, która nie pozwalała Devilynowi iść ani kawałka dalej. Chwilę tak go potrzymał, po czym szarpnął gwałtownie, wywracając go i przyciągając do siebie.

— Vincent Paldridge i jego rodzina są teraz pod moją ochroną — powiedział nieznoszącym sprzeciwu tonem. — Rozumiemy się? — Devilyn przełknął głośno ślinę. —

Świetnie.

Painkiller zwolnił Devilyna, a ten od razu zaczął krzyczeć:

— Zdrajca! Sprzedałeś się dla władzy!

Painkiller niespecjalnie się tym przejął. Puknął Vincenta końcami palców w czoło i powiedział:

— Jak widzisz, to nie takie proste. Pewien wariat powiedział kiedyś, że przeszłość jest jak...

— Bumerang — wtrącił Vincent.

Painkiller spojrział na niego z uznaniem.

— Widzę, że znasz to. Ale chyba jednak nie powinno mnie to dziwić.

— Jakie to urocze! — zawołał Devilyn. — Dajcie sobie jeszcze buzi, pe...

Painkiller kopnął go w brzuch, korzystając z faktu, że jego podopieczny wciąż leży na podłodze. Uciszyło go to trochę.

— Idź do swojej rodziny — powiedział Painkiller, Vincent wyczuł cień pogardy, zupełnie jakby traktował go niczym tchórza. — A ja omówię z Devilynem kwestię jego nieposłuszeństwa.

Vincent wytarł twarz w papierowy ręcznik i wyszedł.

Coś się jednak zmieniło. Nie odczuwał już takiego zmęczenia, cofało się, także jego oczy miały się lepiej, co wydawało mu się co najmniej godne zastanowienia. Teraz jednakże odłożył to na dalszy plan i usiadł obok córki.

— Zaraz mamy pociąg — powiedziała.

Objął ją ramieniem i po chwili usnęła. Tak, to były dwie ciężkie doby. Ale było coś jeszcze — Susan chciała o coś spytać, tylko coś ją powstrzymywało. Zauważył to w jej oczach już w mieszkaniu Friedy, podejrzewał więc, że związane było to z osobą Devilyna Masona. Kiedy pół godziny później jechali pociągiem, Vincent zamknął przedział, korzystając z tego, że nikt się jeszcze nie dosiadł, zasunął zasłony i spytał:

— Co się stało?

Susan spojrziała na niego zdziwiona. Spuściła wzrok.

— Zawsze mnie to zaskakiwało, jak potrafiłeś domyśleć się, że coś jest nie tak — powiedziała. — Ojcowie moich koleżanek nie potrafili się nigdy z nimi dogadać, czułam się zawsze wyjątkowa. Czasem pozytywnie, a czasem zastanawiałam się, czy coś ze mną lub z tobą jest nie tak.

Po ostatnim zdaniu spojrziała badawczo na swojego ojca, ale jego spojrzenie było pełne zrozumienia, jak zawsze. Uśmiechnął się i z całą dostępną łagodnością spytał jeszcze raz:

— Zatem co siedzi małej Susan na serduszku?

Zrobiła głęboki oddech.

— Chodzi o tego dziwaka, który mnie porwał...

— Tak? — spytał z niepokojem i troską Vincent. Devilyn mógł jej powiedzieć prawdę, mógł też ją nastraszyć. To drugie byłoby stanowczo gorsze.

— Powiedział... nie, to głupie, nie mogę — powiedziała, cała czerwona i zaczęła się wpatrywać w swoje buty.

— Śmiało, mógł mówić różne rzeczy — powiedział, żeby ją przekonać, niemniej jednak wszelkie formy nacisku mogły przynieść nie pożądane efekty. Niezależnie od tego, co to było, lepiej żeby w sobie tego nie dusiła. Postanowił zastosować pewien wybieg taktyczny. — Muszę ci coś o nim opowiedzieć. — Zauważył, że Susan nachyliła się w jego stronę zaciekawiona. — Znaliśmy się wiele lat temu i to co najwyżej z widzenia. Był chyba chory psychicznie, widzę, że z biegiem lat pogłębiło się to u niego.

„Kłamstwo”, jak dodawał często w pracy, „musi być krótkie”.

Susan odetchnęła z ulgą.

— Opowiadał, że jesteś szatanem i że dlatego jesteś taki mądry, błądy i w ogóle — powiedziała tonem najwyższej pogardy. — Pieprzony świr.

— Susan! — napomniał ją. — Wyrażaj się.

— Przepraszam — odparła. — Chyba się prześpię.

— To dobry pomysł — stwierdził Vincent, również zamykając oczy.

Przez całą drogę nie udało mu się jednak zasnąć.

X.

„Przeszłość jest jak bumerang. Zawsze wraca”.

Vincent zaśmiał się, wspominając te słowa. Niestety, był zbyt inteligentny, żeby obarczać Painkillera wszystkim. Co prawda nieoddanie Ciemności w ręce jakiegoś głupka o słabym umyśle było dobrym rozwiązaniem, ale całkowite jej uwolnienie też raczej nie wchodziło w rachubę. Byłaby to rażąca nieodpowiedzialność zarówno ze strony Vincenta, jak i Painkillera. Wtedy, w ubikacji na dworcu kolejowym, kiedy Painkiller pacnął go w czoło, oddał mu część Ciemności. Bardzo małą, ale pozwalającą Vincentowi w dowolnym momencie pozbierać ją w całość. Dlatego też nadal nie sypia i nie męczy się, jest silniejszy i bardziej przenikliwy. Jak przekleństwo to przekleństwo. Dalekowschodnia mądrość, jaką znalazł w chińskim ciasteczku jeszcze na dworcu, jakie Susan kupiła po powrocie, mówiła, że nie można uciec przed sobą samym. Można uciekać, ale nie można uciec. Oczywiście nie chciał uciekać przed własnymi

demonami, raczej chciał uchronić przed nimi swoich bliskich. Intencje widać niewiele obchodzą losu. Niemniej jednak Painkiller pomógł mu i to bardzo. W świat poszła informacja, że Ciemność nie ma już pana i że jest rozrzedzona jak kropla syropu malinowego w odmętach Oceanu Spokojnego. Wygodne rozwiązanie — nikt się nie będzie dobijał do niego, jak Devilyn, raczej spędzą całe życie na próbie zogniskowania w sobie Ciemności. Trud daremny, ale dla ogólnej równowagi bezpieczny.

Niestety, Vincent nigdy więcej nie zobaczył swojego sąsiada-androida, Johna. John Karzov zniknął wraz z całą swoją rodziną. Kiedy wrócili, w domu nie było nikogo. Vincent pukał do drzwi i okien, ale nie zastawszy nikogo, wrócił. Po pierwsze: bał się jakichś wymyślnych pułapek czyhających na nierozważnych włamywaczy lub agentów NSA, a po drugie: postanowił wrócić następnego ranka. Lecz kiedy jego noga stanęła w ogrodzie, okazało się, że nie ma domu państwa Karzov. Zniknął. Została po nim wielka na kilkanaście metrów dziura. Tutaj najciekawsze były dwie kwestie. Pierwsza to oczywiście, jak to zrobili. Musieli tego dokonać w nocy i aż dziw, że Vincent niczego nie usłyszał. Druga kwestia była znacznie bardziej intrygująca — jak, do cholery, John wytłumaczył to Peggy?! Przecież Peg miała swoje kółko różańcowe, udzielała się w stowarzyszeniu rodziców w miejscowej szkole oraz pełniła kilka mniej lub bardziej formalnych funkcji w lokalnej społeczności. Wszystko wskazywało jednak na to, że Vincent miał się tego nie dowiedzieć. W jakiś sposób napawało go to optymizmem. Susan trochę cierpiała po zniknięciu Kevina, jednakże absurdalność całego tego zniknięcia pozwoliła jej się szybciej otrząsnąć. Gdyby tylko wiedziała, kogo dane jej było spotkać podczas szaleńczej eskapady na koncert Nine Inch Nails... Ale może jednak lepiej, że nawet nie przeczuwała niczego. Wszystko da się przecież racjonalnie wytłumaczyć.

Carolina bardzo się ucieszyła, kiedy zobaczyła ich całych obydwój. Co prawda, z pociągu Vincent do niej zadzwonił, ale nie można tego porównać do uścisku po powrocie. Vincent wrócił do swojej pracy, tym razem biorąc na warsztat młodego japiszona, który miał już dość swojej nieśmiałości i tego, że wszyscy po nim jeżdżą, pomimo iż dorobił się już niezłej pozycji. Vincent zrobił to za darmo; pieniądze kazał wpłacić na rzecz fundacji zajmującej się rodzinami zastępczymi. Po nowojorskich wydarzeniach cenił rodzinę jeszcze bardziej.

Dwa tygodnie po powrocie, kiedy jedli we dwójkę śniadania, a dziewczynki były w szkole, Carolina czytając gazetę, powiedziała:

— Cholera.

— Co się stało? — spytał Vincent, odkładając czasopismo psychologiczne.

— A w sumie nic takiego — odpowiedziała, orientując się, że najwidoczniej zrobiła rajwach z błahego powodu. — Jak wiesz, kochanie, gram trochę na giełdzie.

— W Nowym Jorku poznałem człowieka, który grał na giełdzie — odpowiedział Vincent.

— Chyba robił to bardziej zawodowo, choć w zaciszu własnego mieszkania. Dziwny koleś. A ty co, straciłaś dużo?

— Nawet nie, żeby straciła, po prostu zdziwiła mnie pewna informacja. Jakies dwa tygodnie temu aresztowali Jeremy'ego Curtisa, właściciela pewnej firmy.

— Yhm — mruknął zaintrygowany Vincent.

— Interesuje cię to? — zdziwiła się Carolina. — Zawsze jak ognia unikałeś wszelakiego wielkiego świata.

— Istotnie, ale coś słyszałem o tym i podejrzewam, że nie dałoby mi to spokoju. A tak to pewnie już jutro zapomnę, o co chodziło — wyjaśnił.

— Curtisa zgarnęli pod jakimś lichym powodem, a teraz po błyskawicznym procesie dostał 25 lat więzienia za defraudacje. Przecież takie sprawy i wyroki nie zapadają w kilka dni chyba? — spytała.

— To świat wielkiej polityki i wielkich pieniędzy — odpowiedział Vincent. — Widocznie protektorzy Curtisa nagle się wycofali. Możliwe, że obiecali mu lepsze warunki za przyznanie się do winy albo coś takiego. Często odporni ludzie w tajemniczych okolicznościach popełniają samobójstwo. Zakulisowe przyczyny nie mają takiego znaczenia. Jaki jest skutek?

— Firmę przejęła jakaś tajemnicza firma, JK Corp. Podobno działają od dawna, ale nie słyszałam o nich nigdy.

— Ja też nie — odpowiedział Vincent i pomyślał o Johnie, który najwidoczniej przechodził do ofensywy.

— „Szczegóły miał podać dwa dni temu na konferencji w Pekinie nowy dyrektor, Harry Hikikomori” — przeczytała Carolina. — Rany, jaki zakapior, wygląda, jakby się nie rozstawał z heroiną przez ostatnie 10 lat — dodała od siebie, pokazując Vincentowi zdjęcie w gazecie. Wyglądał lepiej niż ostatnio.

— Nie podał?

— Zniknął bez śladu. Dolecieli do Chin, ale na tym się skończyło. Więcej nic nie ma. — Spojrzała na Vincenta rozbawiona. — Ale głupoty, jak w kiepskim filmie. — Przerzuciła stronę. — O, sklonowali świnię, która wymarła trzydzieści lat temu.

Vincent zamyślił się. Miał to. Miał wszystko, czego mógł pragnąć — wspaniałą żonę, udane córki, dobrą pracę, swoje miejsce na świecie. Oraz bumerang, który chwilowo był gdzieś daleko od niego. Wariat miał rację. Ale miał ją również wampir, na szczęście.

Kraków, 3 października — 15 listopada 2006

Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Bez utworów zależnych 3.0 Polska (CC BY-NC-ND 3.0)

Wolno:

1. kopiować, rozpowszechniać, odtwarzać i wykonywać utwór

Na następujących warunkach:

1. Uznanie autorstwa — Utwór należy oznaczyć w sposób określony przez Twórcę lub Licencjodawcę.
2. Użycie niekomercyjne — Nie wolno używać tego utworu do celów komercyjnych.
3. Bez utworów zależnych — Nie wolno zmieniać, przekształcać ani tworzyć nowych dzieł na podstawie tego utworu.

Ze świadomością, że:

1. Zrzeczenie — Każdy z tych warunków może zostać uchylony, jeśli uzyska się zezwolenie właściciela praw autorskich.
2. Public Domain — Jeżeli utwór lub jakiegokolwiek jego elementy, zgodnie z prawem właściwym, należą do domeny publicznej, to licencja w żaden sposób nie wpływa na ten status prawny.
3. Inne prawa — Licencja nie wpływa w żaden sposób na następujące prawa:
 - Uprawnienia wynikające z dozwolonego użytku ani innych obowiązujących ograniczeń lub wyjątków prawa autorskiego.
 - Autorskie prawa osobiste autora;
 - Ewentualne prawa osób trzecich do utworu lub sposobu wykorzystania utworu, takie jak prawo do wizerunku lub prawo do prywatności.
4. Uwaga — W celu ponownego użycia utworu lub rozpowszechniania utworu należy wyjaśnić innym warunki licencji, na której udostępnia się utwór.

<http://creativecommons.org/licenses/by-nc-nd/3.0/pl/>

Pełen tekst licencji:

<http://creativecommons.org/licenses/by-nc-nd/3.0/pl/legalcode>